Nr. 13. Lwów, Niedziela dnia 26. Listopada 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

ŁUŹNE UWAGI.

XIII.

ZAMACH NA UNIWERSYTET LWOWSKI.

Smutnym bardzo być musi stan narodu czy państwa, któremu dopiero dowodzić trzeba, jak ważną i o całej przyszłości jego rozstrzygającą jest sprawa szkół i oświaty, jak zgubnem przygaszenie jakiegokolwiek ogniska, z którego się promienie wiedzy w szerszem lub szczuplejszem kole rozchodzą. Pierwszym bowiem wszelkiego postępu cywilizacyjnego warunkiem jest poczucie jego potrzeby, bo u narodu tak samo jak u człowieka wola musi poprzedzać czyn, zrozumienie iść musi przed wykonaniem. Gdzie ta wola uspiona, gdzie zrozumienia tego nie ma, tam brak pierwszego i najniezbędniejszego warunku do zrobienia chociażby kroku naprzód.

Ale jeżeli stan tego rodzaju jest zatrważającym u narodów, które skutkiem rozmaitych stosunków dziejowych są w rozwoju swym zacofane — to cóż dopiero powiedzieć, gdy się widzi podobne objawy u narodu chełpiącego się tem, że przoduje w dziele cywilizacji, u narodu, który w istocie wydał legje znakomitych uczonych i poetów, i z dumą powiada o sobie, że wielkie swe zwycięstwa zawdzięcza—nauczycielom szkół ludowych? Co powiedzieć, jeżeli reprezentant takiego narodu, wolnemi jego głosami powołany do przedstawienia wyobrażeń jego, dążeń i usposobień, i postawiony na tak wyniosłem stanowisku, jakiem jest stanowisko członka najwyższej władzy prawodawczej, objawia zamiary przytłumienia jednego z ognisk wiedzy i nauki? Nie chodzi nam tu o materjalny skutek takiego wystąpienia, ufamy bowiem, że skutku ono nie odniesie, ale sam fakt, iż ze strony niemieckiej poruszoną została myśl zniesienia uniwersytetu lwowskiego jest tak rażącym, że nie mogliśmy go pominąć milczeniem. Jesteśmy też przekonani, że poświęcając kilka uwag temu przedmiotowi, nie wykraczamy po za ramy naszego pisma, które zawsze żywo zajmowało się i zajmuje sprawami oświaty i wszelkich instytucyj poświęconych krzewieniu nauk.

Ileż to razy można się naczytać w niemieckich dziennikach, broszurach, dziełach — nasłuchać w mowach festynowych i niefestynowych wypowiadanych przez mowców niemieckich, owo angielskie: *knowledye is power*, umiejętność jest potęgą. Jakże pięknemi nieraz wywodami starają się przekonać czytelnika niemieccy ekonomiści, że cały żywot gospodarczy narodów i ludzkości to tylko nieprzerwany szereg walk z siłami przyrody, nie tylko żeby się od ich szkodliwych nieraz objawów uchronić, lecz żeby je zarazem na cele ludzkie zużytkować, iż przeto poznanie tych sił, wszechstronne zrozumienie prawideł rządzących przyrodą, daje narodowi możność prawdziwie cywilizacyjnego rozwoju i pomyślnego ekonomicznego bytu. Ileż razy powtarzali niemieccy publicyści słowa, wypowiedziane po raz pierwszy przez Francuza (J. Simona), że co się wyda na cele oświaty, to się zaoszczędzi w wydatkach na utrzymanie zakładów karnych. Ileż razy niemieccy statystycy z porównawczego zestawienia liczby szkół i wyższych zakładów naukowych różnych państw w stosunku do przestrzeni i ludności, brali miarę sił cywilizacyjnych, sił postępu porównywanych państw. Jeżeliż dzisiaj z tej samej strony widzimy zamachy zmierzające do stłumienia ogniska wiedzy w jednej i to większej części naszego kraju, to albo sprzeczność ta dowodzi zatracenia wszelkiego zmysłu sprawiedliwości, albo też zapomnienia o owych pięknych tylekroć wygłaszanych teorjach i cofania się do czasów obskurantyzmu.

Nazywamy uniwersytet nasz ogniskiem wiedzy dla bardzo znacznej części kraju. Do niedawna jeszcze nie był on takiem ogniskiem, był fabryką, z której wychodzili patentowani prawnicy i patentowani nauczyciele. Miewał on wówczas profesorów filozofji, którzy wykładali ze skryptów napisanych przed 40 laty, miewał profesorów ekonomji, którzy skrypta swe kompilowali z dawnych austrjackich „kameralistów," miewał profesorów historji, którzy uważali sobie za zadanie, w oczach słuchaczy polskich ohydzić dzieje Polski; a nieliczne zaszczytne wyjątki (Rulf, Zeissberg) służyły tylko chyba ku temu, żeby się od nich szare tło całości tem ciemniej odbijało. Wydział przyrodniczy był tak zaniedbany, że dzisiaj jeszcze skutkiem tego czuć się daje w szkołach średnich brak nauczycieli przyrodników.

Od kilku lat jednak, od czasu mianowicie zaprowadzenia języka polskiego jako wykładowego, stosunki poczynają się znacznie zmieniać na lepsze. Gdy dawniej profesor, mogący się wykazać pracami naukowemi, ogłaszanemi czy to w czasopismach, czy w osobnych dziełach, był rzadkiem w gronie profesorów zjawiskiem, dzisiaj wyjątkiem jest taki, który się niemi poszczycić nie może. Wydział filozoficzny, szczególniej zaś przyrodniczy, ma w gronie swojem profesorów, których imię głośnem jest nie tylko we Lwowie, nie tylko w Polsce, lecz i za granicą, bo się pracami swemi przyczynili do istotnego nauk rozwoju, i mogą się wykazać nowemi zdobyczami na polu nauk przyrodniczych. Jest to wszystko jeszcze w stadjum reorganizacji, przeobrażenia, ma zatem jeszcze wiele niedostatków; ale niewątpliwie w tych żywiołach, które się dzisiaj na uniwersytecie lwowskim skupiły, jest bardzo wiele żywotności naukowej, są warunki postawienia zakładu tego wysoko. I zaprawdę wandalizmem by było niszczyć dzieło, znajdujące się na tak dobrej drodze. A to tem bardziej, że ze zwinięciem uniwersytetu lwowskiego bardzo znaczna, szczególniej uboższa część młodzieży naszego kraju i miasta, byłaby pozbawioną możności pobierania wyższych nauk. Dość rzucić okiem na kartę Galicji, aby się przekonać, że wszechnica Jagiellońska, już dla samego położenia Krakowa, jest dla bardzo znacznej części kraju nieprzystępną, i że niezbędnie muszą u nas istnieć dwa uniwersytety, w Krakowie i we Lwowie. Z czegoby się utrzymała cała ta część naszej uniwersyteckiej młodzieży, która pracą zarabiać musi na życie, gdybyśmy ją ze Lwowa do Krakowa przenieśli, i tam w dwójnasób pomnożyli liczbę szukających pracy, a niestety nieraz zmuszonych szukać wsparcia? Już sama ta okoliczność dowodzi, jak fałszywem było to powiedzenie mające niby złagodzić tak nienawistny zamiar, że

będzie można, zwinąwszy uniwersytet lwowski, zaoszczędzonemi w ten sposób funduszami podnieść krakowski. Rzecz by się miała inaczej: zniszczonoby ognisko nauk we wschodniej części kraju, a Kraków jak dotąd tak i nadal musiałby walczyć o każdy grosz, na podniesienie uniwersytetu potrzebny. Mieliśmy już liczne wypadki, które nam się tego obawiać każą.

Spodziewamy się, że chociażby zamachy te się powtarzały, nie odniosą one skutku. W każdym razie jednak powinne one skłonić nas, a mianowicie reprezentantów naszych do wielkiej baczności, powinne zachęcić profesorów uniwersytetu lwowskiego do gorliwszej jeszcze pracy naukowej i do starania się o to, by o tych pracach i obcy wiedzieć mogli, młodzież zaś naszą zachęcić do takich postępów w naukach, ażeby się w nich potrzeba i pożytek uniwersytetu lwowskiego niewątpliwie ujawniały Ten będzie najlepszy środek usunięcia wszelkiego niebezpieczeństwa.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA JGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Zbliżam się do nieszczęsnej chwili, która o przyszłych życia mojego losach stanowić miała; było to jesienią, powróciłem był na godzinę objadową z polowania, znużony, sam nie wiedząc czego niespokojny. Wpadłszy do pokoju siostry zastałem ją spłakaną, mimo najusilniejszych wszakże prośb moich przyczyny łez wyznać mi nie chciała, złożyła je na zwykły swój smutek, na bolesne przeczucia, na życie któreśmy prowadzili.

Gdy wybiła godzina objadowa, napróżno ją namawiałem aby poszła ze mną, wyznała mi że brakło jej sił, że woli pozostać u siebie, mnie także chcąc namówić abym z nią objadował, ale nie wiem co pędziło mnie do sali. Poszedłem. Stół nakryty był w sali jadalnej, w której ojciec nieboszczyk obok innych dwa portrety żon swoich kazał umieścić. Ledwiem wszedł na próg, uderzyło mnie, że w czasie mej niebytności obraz matki naszej zdjęto. Gniew gwałtowny owładnął mną, rozdrażniony już byłem znużeniem rannem i łzami Teresy. Spostrzegłem w tej chwili Stanisława, który siedział już za stołem, podparty, gdym zawołał:

— Kto śmiał dotknąć obrazu matki mojej?

Odparł szydersko:

— Ja... Stosowniejsze dla niej miejsce we fraucymrze niż tu. Tam go powiesić kazałem zkąd wyszła.

Już nie wiedząc co czynię przybliżyłem się doń drżący.

— Tyś to uczynił? zapytałem.

— No, ja! odparł blednięjąc.

— Twoje więc miejsce nie tu u tego stołu, do którego mężowie zacni zasiadali, gdzie święte niewiasty przychodziły niosąc pokój i miłość — ale w psiarni, hultaju!

To mówiąc pochwyciłem go oburącz za ramiona i miotając nim szalonym gniewem, cisnąłem nim o drzwi. Ale rychło i on na chwilą straconą odzyskał przytomność i siły, pochwycił nóż z kredensu przy drzwiach i wpadł z nim na mnie. Anim już wiedział jak ręka moja porwała drugi i takieśmy my bracia.., zapomniawszy na wszystko... padli ku sobie zażarci ..

Od tej chwili już niepomnę co się działo ze mną, ochłonąłem dopiero gdym ujrzał Stanisława przedemną leżącego na ziemi i broczącego we krwi, i ręką trzymał nóż mój, który tkwił w jego piersi.

Ja także ranny byłem w szyję, krew moja płynęła, alem zapomniał o sobie. Kain bratobójca stanął mi przed oczyma, padłem na kolana z okrzykiem boleści, usiłując wyrwać żelazo z rany. Stanisław zobaczył ten ruch i sądząc że go chcę dobić, omdlał. Cały dom na tę krwawą zbiegł scenę, której świadkiem było dwoje sług struchlałych w kącie stojących. Nadbiegła Teresa i jak nieżywa padła ujrzawszy krew naszą. Rozesłano natychmiast po lekarzy, po rodzinę, gdyż Stanisław zdawał się ugodzony śmiertelnie. Mnie już nieprzytomnego zaniesiono na łoże, a gorączka nie tak od rany, jak z gwałtownego wstrząśnienia i doznanego gniewu, rozwinęła się straszliwa. Przy łożu mojem płakała klęcząc Teresa, wyrzucając sobie że mimowolnie stała się przyczyną bratobójstwa,

Nie śmiałem nawet spytać o Stanisława; później już nie wiedziałem co się ze mną stało.

Gdym niewysłowienie osłabiony oczy znowu na świat otworzył, długo przypomnieć sobie nawet nie mogłem co się ze mną działo, okoliczności poprzedzających chorobę, walkę naszą. Czułem się ledwie żywym, nie mogąc ocenić czasu który słabość moja trwała. Teresa i ksiądz siedzieli przy mnie. Otworzyłem usta chcąc ich pytać, ale mówić mi zakazano; pamięć opieszale przywodziła mi wypadki, w miarę jak odzyskiwałem siły przypominałem sobie wszystko, niepokój dręczyć mnie zaczął o życie Stanisława.

Mimo zakazu księdza, prośb Teresy, spytałem natarczywie.

— Co się ze Stanisławem dzieje?

— Żyje, — odpowiedział mi kapłan surowo.

Słowa już więcej nie mogłem z nich wydobyć, zawołano lekarza, który natychmiast kazał mi wziąć coś uspokajającego, sen powoli skleił mi powieki. Ale w tym śnie ciężkim dręczyły mnie marzenia piekielne. Widziałem przed sobą ojca i z nim brata, ukazującego mi szeroką ranę w rozpłatanej przezemnie piersi.

Choroba i słabość długo przeciągnęły się jeszcze, lecz na ostatek zwyciężyły siły młodości; począłem przychodzić do siebie, a im więcej odzyskiwałem zdrowia i pamięci, tem głębszy ogarniał mnie smutek, tem pełniejsze goryczy wymówki sobie czyniłem. Mówiono mi że Stanisław żyje, lecz tylko Opatrzność Boża znać go ocaliła, ja w mem własnem przekonaniu byłem bratobójcą. Wielka była wina jego, ale nie mogłem zataić przed sobą własnej. Dla czegóżem nie ustąpił przed dumą brata i ważył, dla próżności, przez miłość własną, jego i moje życie, aby koniecznie na swojem postawić? Dla czegom dopuścił, by gniew mną owładnął i pierwszy rzuciłem się na brata?

Żal uciskał mi serce, w duszy ślubowałem sobie że przyszedłszy do zdrowia, oblokę suknię zakonną i życie poświęcę odpokutowaniu mej zbrodni.

Ale ile razy otwierałem usta o tem mówić z Teresą, z ojcem Ignacym, zbywano mnie nakazanem przez lekarzy milczeniem, o niczem nawet dowiedzieć się nie mogłem na pewno, co zaszło po strasznej owej scenie w izbie jadalnej. Ciekawość moja rosła z każdą godziną, tak dalece, żem postanowił bądź co bądź od kogokolwiek zasięgnąć wiadomości.

Był przy mnie oddawna wielce przywiązany kozaczek, którego sadzono zwykle dla pilnowania mnie przy łożu, gdy siostra odchodziła znużona wypocząć nieco, a ksiądz musiał odprawiać swe modlitwy. Do niegom się więc zwrócił zaklinając go, aby mnie o tem co się stało, a czegom nie pamiętał, uwiadomił. Długom go prosić musiał, nim się dał wreszcie skłonić i przemówił. Oznajmił mi on, że p. Stanisław mimo zrazu bardzo wielkiej utraty krwi, żył i rychlej niż ja do zdrowia przyszedł, że familja książąt L. wywiozła go natychmiast i zabrała do siebie, że po kilkakroć przyjeżdżał stryj mój w czasie choroby, a lekarze w początku małą bardzo czynili wyzdrowienia mojego nadzieję. Od niegom się też dowiedział, że Stanisław jak tylko cokolwiek pozdrowiał, sam na siebie przyjął cała winę wypadku, najgorliwszym moim stawszy się obrońcą, że się zupełnie w usposobieniach swych zmienił, a czując przewinienie, dobrowolnie postanowił wyrzec się majętności i imienia rodzicielskiego i zamknąć się w klasztorze. Familja książąt L. napróżno wszelkiemi sposoby usiłowała go od tego postanowienia odciągnąć; jak tylko do zdrowia przyszedł, wdział natychmiast habit zakonny i rozpoczął nowicjat.

To opowiadanie kozaka przejęło mnie niewymownie, czułem się upokorzonym jego skruchą i poprzysiągłem również życie przykładniej poświęcić pokucie. Nie wiedziałem o tem, że i Teresa gryząc się myślą, iż ona była rzeczywistą tego wypadku przyczyną, również powrócić do klasztoru zamyślała.

Uspokojony nieco, gorącemi zalawszy się łzami, modląc się i Bogu dziękując, że nam dał czas do pokuty, usnąłem. Od tej chwili, jakby życie nowe wstąpiło we mnie, począłem prędzej do sił i zdrowia przychodzić. Pomimo polepszenia mojego stanu, milczano i unikano jeszcze poważniejszej ze mną rozmowy. Kilka razy starałem się do niej skłonić Ojca Ignacego, odpowiadał mi zawsze surowo:

— Przyjdzie na to chwila.

Na ostatek, gdym się upierał, zakazał mi pod posłuszeństwem samemu o tem poczynać rozmowę.

Czekałem więc cierpliwie, aż mną rozporządzi.

Nierychło potem, gdym już mógł wychodzić i przechadzać się po ogrodzie, przybył mój stryj, kilku krewnych, i po odprawionej spowiedzi, otrzymanem rozgrzyszeniu, komunji i nabożeństwie, O. Ignacy wezwał

mnie przed radę familijną, w której uczestniczył.

Prosiłem, aby mi naprzód głos zabrać wolno było, i przyznawszy się do mej zbrodni, wyraziwszy szczery żal za nią, oświadczyłem przed rodziną, że postanawiam zamknąć się na resztę żywota w klasztorze, by za bratobójstwo odpokutować.

Pod koniec mojej mowy, przerwał mi O. Ignacy, mówiąc, że chociaż Bóg mi przebaczył i skrucha zmazała winę, żaden jednakże klasztor nie przyjął by tak łatwo tego, który pierwszy w zapamiętałości rzucił się na brata. Dodał, że pokuta w klasztorze jest łatwa, i dla tego samego ona mi się nie należy, bo cięższą żyjąc na świecie w dobrowolnem odosobnieniu, ponieść powinienem. Był już O. Ignacy, jak się zdaje wcześnie przez rodzinę uproszony, a szczególniej przez brata Stanisława, aby mnie od mojego postanowienia odwiódł.

Gałąź domu naszego, po wstąpieniu do klasztoru starszego, kończyła się na mnie, nie chciano aby majętności przechodziły w dom obcy przez zamęźcie Teresy, lub na inną rodziny naszej linję z którą stosunki były oziębłe oddawna i nie zbyt przyjazne.

Wszyscy więc, opierając się na słowach ojca Ignacego, prosić, zaklinać, rozkazywać powagą swoją zaczęli, abym od mojego postanowienia odstąpił. Najpoważniejszą dla mnie była wola Stanisława, zaklinającego mnie abym stanu duchownego, do którego nie czułem powołania, nie obierał. Poddałem się wyraźnie jego woli, ale zarazem oznajmiłem rodzinie, że pokutę mając naznaczoną przez siebie, spełnię ją, chociażby przeciw surowości jej występowano i nic mnie od tego obowiązku sumienia odciągnąć nie potrafi.

Rodzina, O. Ignacy, brata Stanisław, w ostatku i ja także, sprzeciwialiśmy się postanowieniu Teresy, która również do klasztoru powracać chciała.

Występek mój był prawie publiczny, Stanisław dawał mi pierwszy przykład skruchy i ofiary, za którym ja pójść był powinien; postanowiłem więc opuścić gniazdo ojcowskie i nie powracać doń, aż po latach tylu ile ich naówczas miałem. Pokuta więc trwać miała lat dwadzieścia kilka. W ciągu tego czasu postanowiłem uroczyście żyć w odosobnieniu, lub jako wędrowny ubogi pielgrzym, nie zdradzając stanu jego i pochodzenia, narażając się na upokorzenia, których od brata znosić nie umiałem.

Zakrzyczano mnie zrazu, żem sobie zbyt ostrą zadał pokutę, alem już był niewzruszony; oddawszy Teresę w opiekę stryjowi, natychmiast udałem się w lasy na Mazowsze, gdziem sobie pustelnię tę pobudował, zapełniając ją dzikiemi zwierzęty. Przez długi przeciąg czasu wcale się ztąd nie oddalałem. Żyłem tu na modlitwie, rozmyślaniu, postach nabożeństwie, martwiąc ciało i pokonywując ducha. Zerwałem stosunki z rodziną, tylko w razie koniecznej potrzeby, zbliżając się do niej dla krótkiej narady.

Nie przyjmowałem też nikogo, oprócz księdza, który był moim kapelanem i spowiednikiem, a dwa razy do roku dowiadywałem się tylko do siostry.

Jużem w lesie był zamieszkał, ale jeszcze w prostej budzie leśniczej, która tu stała poprzednio, zanim na jej miejsce dom wzniosłem, gdy O. Ignacy niespodzianie przybył do mnie.

Przyniósł mi on list od Stanisława, pełen pokory, serdeczny, proszący o przebaczenie i pojednanie zupełne, a razem wzywający mnie, bym to nie słowem ale czynem dopełnił, przybywając sam do niego.

Chwila to była jedna z najboleśniejszych w mem życiu, bo dawne odnowiła rany. O. Ignacy namawiał, abym spełnił wolę brata, serce samo ciągnęło mnie ku niemu, natychmiast więc umyśliłem stawić się na wezwanie, ale podróż odbywając pieszo i jako pielgrzym pokutujący. Zaraz nazajutrz grubą przywdziawszy siermięgę, boso, z sakwami na plecach, sam jeden wyszedłem z pustelni i rozpocząłem tę podróż, która trwała dni kilkanaście. Stanisław znajdował się naówczas w klasztorze Bernardynów około H. zasuniętym w lasy, w odległej i dosyć pustej części kraju. Przypadek raczej niż wola moja zrządził, żem tu przyszedł w samą wigilję wielkiego odpustu, który tysiące ludzi do cudownego obrazu gromadził. O zachodzie słońca, znużony przywlokłem się do bramy klasztornej i padłem tam straciwszy siłę i odwagę iść dalej.

Chwila, w której miałem ujrzeć znowu tego brata, ranionego śmiertelnie ręką moją, a ocalonego cudownie ręką Bożą, napełniała mnie trwogą niewysłowioną. Potrzebowałem nabrać odwagi, nimbym przed nim stanął. Leżałem tak na ziemi, wśród zachodzącego słońca blasków, gdym ujrzał przed sobą cień, który zatrzymał się i zasłonił mi jasność wieczorną.

Powoli usłyszawszy szelest bliski, zobaczywszy bose zakonnika nogi, który zaraz pokląkł przy mnie, podniosłem oczy.

Alem krzyknął, zakrywając je zaraz, był to bowiem Stanisław, który klęczał przedemną.

O mój Boże, jakże zmieniony, jak opromieniony pokojem i świętością, jak ubłogosławiony pokorą! Twarz jego blada, anielskiej była piękności.

Schylił się, ujął kraj mojej szaty i ze łzami całować ją począł, wołając:

— W imię ukrzyżowanego, bracie mój, przebacz mi winę moją.

— A! ja to, ja paść przed tobą winienem; rzekłem padając w proch twarzą, i błagać ciebie, abyś zabójcy swemu, jak Chrystus nieprzyjaciołom na krzyżu darował.

Tak we łzach oba, on klęczący, ja na ziemi leżąc, jużeśmy nie mówili słowa, modliliśmy się, aż uczułem dłoń jego na ramionach moich i rękę, która mnie podnosiła, dźwignąłem się i klęcząc rzuciliśmy się na szyję wołając: *Parce nobis Domine!*

W jakiemś błogiem zachwyceniu powstaliśmy powoli z ziemi. Kościół był otwarty, tysiące ludu go napełniało, kończyły się właśnie uroczyste nieszpory, trzymając się za ręce, razem idąc weszliśmy do kościoła, przed sam wielki ołtarz. Aniśmy wiedzieli co czynimy, serca popędu słuchając tylko. Lud który był świadkiem pojednania i odgadł coś niezwyczajnego, kilku księży stojących we drzwiach, przejętych uroczystością tego widoku, otwarli nam drogę przez tłumy. Szeptano rozstępując się nam szeroko, aż pod wielki ołtarz, kędy przyszedłszy padliśmy na kolana razem, a potem razem krzyżem na ziemię. Nad głowy naszemi zabrzmiał ostatni psalm, potem pieśń, i przeleżeliśmy płacząc pokutnicy oba, aż póki nabożeństwo się nie skończyło, a tłumy nie rozeszły.

Przełożony klasztoru, uwiadomiony o tem, przybył nareszcie nakazując wstać bratu, jam także się podniósł, i razem udaliśmy się do klasztoru. Znano tam historją naszą, przyjęto mnie litościwie i serdecznie.

Jakże teraz Stanisław w rozmowie i obejściu się okazał nowym! jak istotnie odrodzonym człowiekiem! Jakże go te dni życia w samotności, na modlitwie przeistoczyły i oświęciły!

Przemieszkałem w klasztorze dni parę na nabożeństwie wspólnem z bratem, po odpuście ukończonym odprawiliśmy żałobne nabożenstwo za rodziców naszych, za obie matki, Stanisława i moją egzekwie.

Przyjednanie w imię Chrystusa było tak zupełnem, tak szczerem, iż nas obu uspokoiło. Stanisław pozostał w zakonie, którego był już członkiem, jam powrócił do mojej pustelni i pokuty. Wiodłem tu życie ostre, i mimo nalegań O. Ignacego, mimo namów, abym ze ślubu uczynionego dał się rozwiązać dla powrócenia na łono rodziny, obstawałem przy wypełnieniu zadosyć uczynienia. Nawet ślub Teresy, która wyszła za mąż za dalekiego krewnego naszego, nie wyciągnął mnie z mojej pustelni. Przybyła ona sama po błogosławieństwo braterskie, ale zaślubiny musiały się odbyć bezemnie. Przed światem, któremu ukryć się starano rodzinne nasze zajścia, mówiono głośno, żem w daleką i długą puścił się podróż, która lata trwać miała. Starali się tymczasem usilnie bliżsi krewni moi, dla ziemskiego interesu rodu naszego, wywlec mnie z tego ustronia, namawiano gwałtownie na ożenienie, alem postanowiwszy dotrwać, mimo nalegań obstał przy swojem. A były tak silne prośby, że się im w istocie z trudnością opierać przyszło. Starosta, któremu pieczę nad majętnościami naszemi powierzyliśmy i szwagier mój, mąż Teresy, trafili aż do króla z prośbami, nasłano mi tu naprzód nominację na kasztelana, a gdy to nie pomogło, uproszono Poniatowskiego, aby powagę swą monarchiczną upamiętać mnie spróbował. Król jako był w takich rzeczach do zbytku powolny, zgodził się nawet sam mnie w mej pustelni nawidzić.

Wypadek to nadto ciekawy i pamiętny w życiu mojem, abym go nie zanotował. Pod pozorem łowów w którejś z puszcz sąsiednich, wyjechał król z Warszawy, mnie o tem znać nie dano, obawiając się bym snać nie uciekł, tak że na przyjęcie przygotowanym nie byłem. Ze stacji, na której król nocował, w towarzystwie generała Komarzewskiego, lekkim powozem przybył do najbliższej gospody. Tu porzuciwszy konie, resztę drogi zrobił pieszo, prowadzono tylko za nim wierzchowca, na wypadek znużenia. Zdaje się że oprócz przyjaznego usposobienia dla rodziny naszej, której przysługę pragnął uczynić, Poniatowski ciekawością też pustelni mej, o której zasłyszał, silnie był pociągnięty. Nie widziałem był dotąd króla JMci oprócz na talarach. (C. d. n.

*

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Dokończenie).

Oprócz właściwej siły wrażenia, czysto intensywnej, musimy rozróżnić siłę rozprzestrzeniania się czyli extensywną. Widzieliśmy już np. przy wrażeniach ciepła i smaku, że tem łatwiej je ujmujemy im większą część organu atakują — a co ważniejsze, bliższe badanie przekonałoby nas, że od siły rozprzestrzeniania się wrażeń zależy ich charakter *uczuciowy* i ich wpływ na *wolę*. Wrażenie wzrokowe tylko wtedy wywołuje silniejsze uczucie, kiedy wchodząc do mózgu do wzgórków czworaczych, rozprzestrzenia się nietylko w górnej części mózgu lecz i w dolnej, i gdy za pośrednictwem rdzenia przedłużonego oddziaływa na serce i płuca. Tak się rzecz ma ze wszystkiemi bez wyjątku wrażeniami, jeśli tylko są dostatecznie silne, i dlatego też *maximum* wszelkich wrażeń rodzi *ból*. Ale ból objawia się i przy bardzo słabych wrażeniach, jeśli tylko mają własność *rozprzestrzeniania się*. Tak np. łechtanie piórkiem może się stać nieznośnem, ponieważ ma własność przerzucania się na wielką ilość nitek nerwowych, czuciowych a następnie ruchowych. Tu należą także wrażenia moralne, których siła polega na asocjacji z całą naszą istotą. Tak np. wrażenie słuchowe: „ojciec umarł" jest obojętnem dla bardzo wielu, a tymczasem dla syna, jedynie na mocy skojarzenia się wyobrażenia ojca ze wszystkiemi najdroższemi uczuciami, z całem jego życiem i z całą organizacją duchową, mogą mieć siłę wstrząsającą; a łatwo się przekonać, że właśnie takie wrażenia rozprzestrzeniają się po całem ciele, powodując nieraz chorobę całego ciała. Tak samo zaś jak przykrość, tak i przyjemność wrażeń zależy od ich siły przestrzennej — tylko rodzaj tego stosunku nie jest jednakowym. Wyprowadzenie jego praw szczegółowych wymagałoby osobnego i długiego rozbioru, musimy więc poprzestać na zcharakteryzowaniu ogólnych stosunków, które tak są oczywiste, że nie potrzeba dla ich uznania osobnych doświadczeń:

1. W okolicach swego minimum wrażenia są w ogóle obojętne.
2. W okolicach maximum zawsze boleśne.
3. Wrażenia chociażby silne ale umiejscowione i nierozprzestrzeniające się po większej linji nerwów, pozostają obojętne.
4. W środkowych stopniach natężania przyjemność lub przykrość wzrasta wraz z siłą ekstensywną.
5. Wszelkie wzajemne paraliżowanie się lub przerywanie wrażeń jest przykrem.
6. Przeciwnie, ciągłość wrażeń i wzajemne ich uzupełnianie się rodzi przyjemność.
7. Wrażenia bezpośrednio szkodliwe dla organizmu są zawsze przykre.
8. Rozmaitość wrażeń jest przyjemną, lecz nagły ich przeskok przy wzroście różnicy siły staje się przykrym.

Już Bain zwrócił uwagę na to, że pomiędzy zobojętnieniem wrażeń a ich własnościami ekstensywnemi ścisły zachodzi stosunek. Stosunek ten jest mianowicie odwrotnym. Im więcej wrażenia się umiejscowiają, tem mniej rodzą uczuć, tem bardziej obojętnieją. I tak wiadomo, że dla dziecka każde prawie wrażenie jest nowem i wskutek tego silnie na nie działa. Otóż silne to działanie ma, jak wiadomo, charakter uczuciowy i dziecko cieszy się byle czem, drży całe i śmieje się z radości pod wpływem jednego promienia światła, jednego prostego dźwięku albo łaskotania. Stopniowo jednak wraz z wiekiem działanie wrażeń ciągle się umiejscowia, i widok lampy kolorowej nie obudza już ruchów całego ciała, wrażenie nie rozprzestrzenia się po wszystkich nerwach, lecz umiejscowia się coraz to bardziej i co najwyżej wywołuje chwilowy ruch oczu. Otóż nietrudno zauważyć, że wraz z tem umiejscowianiem się słabnie i uczuciowy charakter wrażeń.

W związku z tem jest spostrzeżenie Horwicza, który powiada, że im który zmysł więcej odbiera wrażeń, tem mniej nam dostarcza wrażeń uczuciowych. I jest to bardzo naturalnem, gdyż umiejscowianie się wrażeń zależy także od częstości ich powtarzania, a z drugiej strony wiadomo, że im czegoś częściej doświadczamy, tem się dla nas staje obojętniejszem. Najpiękniejsze melodje z Marty lub Trubadura, przez to tylko, że je już wszystkie katarynki ograły, stają się nieznośne. Ponieważ zaś w ogóle wzrok nierównie więcej wrażeń odbiera niż smak np. nic więc dziwnego, że wrażenia tego ostatniego zmysłu prawie zawsze są wyraźnie przyjemne albo przykre, podczas gdy wrażenia pierwszego najczęściej są obojętne.

Przypatrzmy się teraz innej właściwości wrażeń, odnoszącej się już nie do przestrzeni lecz do czasu.

Ażeby pewne wrażenie pojedyńcze stało się świadomem, nie dosyć jest, że ma *minimum* lub więcej niż *minimum* siły — lecz potrzebuje jeszcze *trwać przez pewien czas*. Chcąc doświadczyć wyraźnego wrażenia smaku, musimy przedmiot smakowany przez pewien czas potrzymać na języku. Dorywcze dotknięcie języka nie da nam wrażenia smaku. Tak samo gdy chcemy ocenić zapach kwiatu lub perfum. Wrażenia słuchowe, jak to widzieliśmy na owem kole zębatem, jeśli tylko następują po sobie zbyt szybko, zlewają się w jedno i nie dają się osobno ocenić. Tak samo jeśli krążek z wycinkami kolorów tęczy, czyli widma słonecznego, szybko obracać będziemy, to wrażenia wszystkie zlewają się w jedno pojedyncze i zamiast różnych kolorów widzieć będziemy jeden z ich złożenia powstający kolor biały. Tak samo się dzieje przy szybkim obrocie rozpalonego węgla, na sznurku, przy szybkiem zjawisku tak nazwanych gwiazd spadających i innych tym podobnych ($^1/_{30}$ Sek.).

Zjawiska te dowodzą z jednej strony, że ażeby wrażenie stało się świadomem, musi trwać przez pewien czas, i ten najmniejszy jego stopień nazwiemy *minimum trwania* wrażenia — a z drugiej strony, że wrażenia odebrane trwają przez pewien czas i w organach zmysłów i w mózgu zanim je inne stłumią i zatrą.

Nie mniej czas odgrywa nader ważną rolę i w samem przenoszeniu się wrażenia po nerwach. Przenoszenie to wskutek licznych doświadczeń okazało się mianowicie nierównie powolniejszem aniżeli dawniej sądzono. Posiada ono bowiem szybkość zaledwie od 40 do 90 stóp na sekundę, ażeby zaś przejść przez mózg, wrażenie takie potrzebuje pewnego czasu, który tem jest dłuższy, im bardziej łączą się z niem kombinacje czysto umysłowe. Wrażenie po którem mamy jakiś ruch wykonać, tem prędzej przerzuci się na nerwy ruchu, im jest prostszem i im bardziej jego charakter jest machinalny; przeciwnie gdy wchodzi w grę *wola* i *zastanowienie*, gdy mianowicie musimy się pierwej namyśleć, choćby przez chwilkę, jaki ruch mamy wykonać, wówczas ruch tem później nastąpi, im bardziej zawiłym będzie wewnętrzny proces umysłowy. Ale i przy najprostszym odruchu musi upłynąć czas pewien. Wrażenie od palców nogi idzie do mózgu dłużej, aniżeli wrażenie od ręki. U zwierząt z bardzo długiem ciałem daje się to najłatwiej ocenić. Jeżeli np. rybak uderzy harpunem w ogon wieloryba, który ma 90 stóp długości, to zanim wrażenie bólu dojdzie do jego mózgu, zanim w mózgu stanie się świadomem i wywoła ruch zwrotny, który mógłby łódkę zatopić, upłyną całe 2 sek. podczas których rybak ma czas łódkę odepchnąć i uchronić się przed niebezpieczeństwem (Du Bois Reymond). Przebieg wrażenia w nerwie jest przybliżenie pięć razy powolniejszy, aniżeli rozchodzenie się dźwięku.

Przy wrażeniach złożonych, takich, jakiemi są mianowicie wrażenia *zmysłowo-umysłowe* np. odbierane przy czytaniu książki lub przy słuchaniu wykładu, czas dla każdego wrażenia pozostawiony musi być jeszcze dłuższym, aniżeli dla wrażeń czysto fizycznego promienia lub dźwięku. To też jeśli prelegent mówi zbyt szybko, staje się niezrozumiałym. Objaśnią to najlepiej następujące spostrzeżenia nad procesem czytania. Wskutek wprawy dochodzimy do tego, że nie potrzebujemy zwracać uwagi osobno na każdą literę, lecz ujmujemy je wyrazami. Dla tego też czytanie korektora, który musi zwracać uwagę na litery, jest daleko powolniejszem, aniżeli czytanie zwykłego czytelnika, któremu tylko o treść chodzi. Z drugiej strony szybkość zależy także od rodzaju treści. Treść fantastyczna wymagająca skomplikowanego udziału fantazji, zajmuje więcej czasu aniżeli opowiadanie zwykłe. Stosunek liczbowy jest mniej więcej taki:

Przy zwykłem opowiadaniu na każdy znak drukarski przypada 2. 34 Tercji. Przy czytaniu fantastycznych poezyj 3,24 Tercji. Przy szybkiem czytaniu wszystkich liter osobno 9,44 Tercji. Lecz jak przy rozważaniu siły wrażeń tak i tu, gdzie chodzi o czas ich trwania, musimy uznać obustronną granicą, t. j. tak dobrze dla *minimum* jak i *maximum* trwania wrażenia. Jedno i toż samo wrażenie nie może trwać czas dłuższy, chociażby nawet bodziec nie przestawał być czynnym. Jeżeli skierujemy wzrok na jeden przedmiot np. jakąś gałkę świecącą, to przekonamy się że po pewnym czasie widzenie przedmiotu zaczyna być mniej jasnem i zaczyna się zmieniać samo przez się i występują różne kolory, różne kształty, i wreszcie po dłuższem trwaniu wrażenia znika nam ono zupełnie zmieniwszy się w coś całkiem innego. Jeżeli zaś umyślnie zmuszamy się do stałego patrzenia w jeden punkt, to po kilkunastu minutach lub więcej, stosownie do ustroju nerwowego i stanu zdrowia, wpadamy w stan tak zwanego *hypnotyzmu* — czyli pół uspienia. Również niepodobna przez dłuższy czas zwracać uwagi na każde puknięcie wahadła w zegarze. Już po kilku minutach spostrzegamy, żeśmy jedno lub dwa stuknięcia przepuścili nie ujawszy ich świadomie. Jednem słowem, zupełna monotonność wrażeń jest przez dłuższy czas niemożliwą — zarówno więc zbyt krótkie jak i zbyt długie trwanie wrażenia sprawia, iż wymyka nam się ono z pod świadomości. Prawo to jest tak powszechne, że nawet wrażenie bolu, którego bodziec trwa

ciągle, nie może być przedmiotem świadomości bez przerw choćby najkrótszych.

Jeśli się, teraz zastanowimy jaki jest stosunek *max.* i *min.* trwania wrażeń do ich strony uczuciowej to dojdziemy do wniosku, że:

1. Wrażenia przyjemne zarówno jak i przykre ulegają tym samym prawom co wrażenia obojętne, t. j. stają się wyraźnemi dopiero po osiągnięciu *minimum* trwania.

2. Że wrażenia przyjemne w skutek dłuższego trwania przechodzą w przykre, podczas gdy te ostatnie zaledwie się zobojętniają, a jeżeli przechodzą w przyjemne stając się nałogowemi, to w każdym razie wymaga to znacznie dłuższego czasu — *zatem wrażenia przyjemne mają nierównie krótsze max. czasu aniżeli przykre.*

Wrażenia uczuciowe jako najbardziej rozprzestrzeniające się, mają też największy wpływ na wolę naszą. Wrażenia przyjemne pobudzają do szukania ich — przykre zaś każą się unikać. Im jednak wola bardziej jest rozwiniętą, tem mniej zależy od wrażeń chwilowych i powoduje się raczej odleglejszemi widokami zmysłowego lub też czysto moralnego zadowolenia. Nie należy jednak zapominać, że wrażenia o ile były pierwszemi naszemi nauczycielami o tyle też były i pierwszemi pobudkami czynów, że więc od jakości pierwszych wrażeń, jakie dziecko odbiera, od ich układu i następstwa zależy w największej części rozwój jego charakteru. Z całą też usilnością starać się powinniśmy o to, ażeby wrażenia te były nietylko źródłem wiedzy, ale i szkołą dla woli.

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce znaleźliśmy się w moim salonie, w oddzieleniu z trzciny na prędce zrobionem. Cztery pudła obok siebie i na sobie ustawione, były stołem. Trzy mniejsze pudła były krzesłami. Jedynym luksem w mym domu była chińska podłóżna kozetka, na której zwykle spoczywałem, gdy mnie uwiódł duch słodkiego farniente. Była to najcenniejsza sztuka mego umeblowania. Z lewej strony oddzielenia była przyszła moja pracownia, z prawej sypialnia i wejście do kuchni. Gdym wrócił z ową butelką Hennery, znalazłem Toma rozciągniętego na kozetce, kapelusz na głowie, krającego powoli kawałek tytuniu do mej fajki.

Po spróbowaniu mego brandy, pozbawiony mej kosetki, zapaliłem cygaro i w milczeniu przemierzałem miejsce, myśląc nad sposobem wyparcia angielskiej okupacji z mego składu.

— Mister Tom!

— Sir!

— Co pan myślisz o tej kozetce?

— Wygodna, lecz nieco za krótka.

— Lub pan dla niej za długi.

— Yes, jedno z obu.

— Hm!... Lecz co do Ponepe — piękna wyspa?...

— Z pozoru, yes.

— O!... tylko z pozoru?

— Yes, misjonarze popsuli krajowców.

— A to jakim sposobem?... Lecz pomóż pan sobie do brandy... zdaje mi się być niezłym.

— Doskonały! Misjonarze popsuli krajowców, popsuli bezwątpienia. Gdyby tu żyjący biali podali sobie ręce, byłoby inaczej. Zamierzałem zwołać ich na naradę, obmyśleć środki odporu, lecz nie ma zgody, większa ich część jest nędznymi biczkomberami, łatwo więc misjonarzom okpiwać krajowców.

— Lecz Mister Tom, dla czego biali mają się jednoczyć przeciw misjonarzom, gdy ci tylko krajowców psują?

— Dla czego?... Ponieważ ci misjonarze nie myślą o nawracaniu dzikich i wiodą bój na śmierć lub życie z białymi. Każdy biały jest dla nich wrogiem i sam nie długo doświadczysz... Jest to prawda, że wielu białych są łajdakami, ale powinni pozwolić na wyjątki.

— Bezwątpienia... Słyszałem nieco o tych stosunkach, lecz bardzo ogółowo. Naturalna rzecz, że przesada musi grać ważną rolę w tych skargach. Lecz proszę do brandy. Więc ci misjonarze są nieprzychylni białym?

— I to jeszcze w jaki sposób! Otwarcie każą w swych kościołach, że żeglarz jest złym człowiekiem, że nie należy go przyjmować, ani mu dać pokarmu. W szkole uczą ich, że biali nie są chrześcijanami, że żyją z kobietami bez kościelnego błogosławieństwa. Cenę prowiantu uczą krajowców podnosić, by ci obdzierali białych, a sami handlują i chcą się narzucić jako rządcy wyspy. Czyż to nie jest bój na śmierć i życie? — zapytał w końcu już nieco rozgrzany Tom.

— Niepodobna temu przeczyć — odrzekłem — że to są objawy nieprzyjaźni, lecz ta zdaje się być starą i musi mieć przyczynę. W jakiż sposób biali się opierają?

— Prawdziwej prowokacji nie ma. Biali byli tu przed misjonarzami i ci ostatni byli stroną zaczepną. Jest to prawda, że ci pierwsi biali, byli szumowinami, wyrzutkami z wielorybników, u których jak pan wie, rozbitki z całego świata znajdują przytułek; lecz ci starzy koloniści pomarli lub opuścili wyspę pomimo tego; misjonarze wciąż są przeciwko nowym przybyszom, nic więc dziwnego, że ci ostatni nienawidzą ich i pracują przeciw tymże.

— Przykre to są stosunki... musiałem zauważyć z mej strony; lecz jakże się zachowują krajowcy?...

— O! ci śmieją się ze stron obu i chcą z obu ciągnąć zyski. Zebrania, śpiewy, dwie niedziele w tygodniu, zgadzają się z ich lenistwem, z drugiej strony misjonarze podkopują władzę naczelników i to zbliża do nich szczególniej niskich krajowców.

— Dwie niedziele w tygodniu?...

— Tak, środa jest mały sabbat, a niedziela wielki.

— Lecz w jaki sposób misjonarze podkopują władzę naczelników? — zapytałem ciekawie gdyż Mister Tom zaczął być interesującym.

— Przez nawrócenie ciemnego krajowca do wiary misjonarza, krajowiec sądzi się być niezależnym i patrzy na dawne obyczaje z lekceważeniem. Każdy z krajowców ma pewne obowiązki względem swego naczelnika, w pewnych ratach winien mu przynosić jako daninę jadło, winien brać udział w robotach, gdy naczelnik potrzebuje wielu rąk, naprzykład przy uroczystem łowieniu ryb itp. Te obowiązki nie zgadzają się z chrześcijanizmem, który wymaga śpiewania kilka razy dziennie. Nieuniknionem było, że obudziła się niechęć naczelników, a misjonarze zachęcają buntujących się poddanych. Dzisiaj krajowiec myśli, że stawszy się chrześcijaninem, staje się zupełnie niepodległym i nie ma potrzeby uważać swego naczelnika za pana. Zwykle starają się go skłonić do osiedlenia się w bliskości domu misjonarza, przez co ten wychodzi z pod sądownictwa naczelnika. Wielu naczelników musiało albo formalnie się skłonić do chrześcijaństwa, albo straciło na potędze, gdyż wielu ich poddanych opuściło ich. Takie osiedlenie dało niezależność misjonarzowi i krajowcy zagrożeni karą za przestępstwa, mają tam schronienie udając chęć nawrócenia się.

— I naczelnicy nic nie przedsiębiorą?

— Nie. Boją się oni, sądząc, że „manofwar“ (komendant wojennego okrętu) stanie w każdym razie po stronie misjonarzy.

— Lecz mnie się zdaje Mr. Tom, że jest przeciwnie i wojenne okręty nigdy nie mięszają się w wewnętrzne sprawy niepodległych wysp.

— Przeciwnie. Dzisiaj Nanikin, którego pan widziałeś na okręcie, nie chciał mieć misjonarzy w swym dystrykcie. Pomimo tego, ci wybudowali kościół na jego gruncie, a jak sami utrzymują na swoim. Nanikin zagniewany i pod wpływem napoju spalił ten kościół i gdy manofwar przybył, misjonarze przedstawili skargę, skutkiem czego, komendant wezwał Nanikina na okręt. Zapytany odpowiedział: Tak, spaliłem kościół, gdyż nie chciałem mieć misjonarzy w mem państwie, a ci pomimo tego zastrzeżenia zakłócają mi spokój. Komendant skazał Nanikina na zapłacenie kościoła i dzwonu. Co do tego ostatniego był on nie uszkodzonym, a został tylko wsuniętym w rachunek przez dobrą sposobność.

— Hm, hm... trudne, bardzo trudne stosunki, lecz nie widzę tu jeszcze powodu do nienawiści białych i misjonarzy pomiędzy sobą?

— Biali choćby byli świętymi, są w drodze księżom. Palą tytoń i piją wódkę, rzeczy, które są zakazane krajowcom. Nadto żyją z kobietami i wpływają przez swą obojętność religijną na demoralizowanie krajowców. Misjonarze muszą się więc starać białych wyprzeć, tak jak to miało miejsce na wyspie Strouga.

— Ej... tam więc nie ma białych?

— Nie ma. Misjonarze zakazali krajowcom zupełnie już nawróconym, wspierania białych. W przeszłym roku musiała osada okrętu, w czółnie rezykować, aby dostać się do Ponepe, gdyż jeden misjonarz napisał do krajowców następujący list: „Słyszałem, że kilku białych z osady kapitana N. wylądowało u was. Dobrze, jeżeli chcecie ich zatrzymać, nie myślcie abym do was powrócił.“ Misjonarz ten żyje na jednej z sąsiednich wysp i krajowcy zostają corocznie odwiedzani. Skutkiem tego King George naczelnik, zawiadomił białych, że nie może ich zatrzymać, a na przedstawienia odrzekł, że: musi słuchać swego misjonarza obawiając się monotwarów.

Tutaj Tom napełnił kieliszek i wypił go duszkiem, jakby dla uspokojenia swego widocznego wzburzenia.

— Prawda to Mr. Tom, zacząłem znowu, że system misjonarzy jest godnym nieraz nagany, lecz osoby samych misjonarzy nie mają tu nic do czynienia. Zapewne pan znasz tych, którzy na tej wyspie mieszkają?

— Bezwątpienia. Znam ich choć nie często mamy przyjemność przestawania ze sobą. Uważają oni nas biednych białych za wyrzutków, a podanie nam ręki za poniżenie. Lecz jest to tylko jeden Mr. W... w K... bo Mr. U... w P...

jest gentlemanem w całem znaczeniu tego wyrazu. Przed pierwszym miej się na baczności. Jest to prawdziwy Yankes, wyniosły, badawczy, chciwy psi syn, godzien być na dnie piekła.

— Oj oj Tom, zauważyłem, strasznie coś szarpiesz biednego Mr. W.

— Bynajmniej! — zawołał rozgniewany Tom — bynajmniej, wszyscy go nienawidzą. Jeżeli przybędziesz pan do niego, nie poda ci krzesła do siedzenia, ni ręki na powitanie i pierwszem jego pytaniem będzie: „Co tu robisz na Ponepe?" Przy tych słowach naśladował Tom mowę obcego mi misjonarza, co mnie do żywego zmusiło uśmiechu.

— Aha... więc obrażona miłość własna białych tu przemawia, zaobserwowałem, lecz Mr. Tom, obrażona miłość własna jest najczęściej wyrazem wewnętrznego uznania się niższym, jest to więc pewnego rodzaju zazdrość, jak na przykład pomiędzy biczkumberami i misjonarzami, zazdrość o wpływ na krajowców.

— Biczkumberami! — zawołał Tom — lecz nie wszyscy biali są nimi.

— Zaiste, nie wszyscy, ale największa ich część. Wiele to razy słyszałem, że tutejsi biali żyją w służbie krajowców, wiodą leniwe życie, myśląc tylko o kob....

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Tom — gdyby biali osiedli tu, chcieli pracować, znaleźliby pole do tego w swym własnym kraju, nie potrzebowaliby szukać na końcu ziemi Ponape.

— Otóż mamy konkluzję... Jeżli tak, więc muszą za to zgodzić się na skutki swego wyboru. Nie tylko misjonarze, ale każdy porządny Europejczyk, nie uzna ich za równych sobie.

Widocznie Tom przyjął nie bardzo łaskawie zdanie moje, w widocznie złym humorze został i tylko butelka stojąca na stole, kazała mu poskromić swoje niezadowolenie. Wypiwszy jeszcze kieliszek pożegnał mnie i poszedł do swej rezydencji, to jest do mego składu.

(C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(Dokończenie.)

W tym czasie rząd dopuścił kobiety do służby przy telegrafach, i pozwolił im być nauczycielkami w niższych klasach żeńskich zakładów naukowych. Lecz dążenie kobiet, aby się wyrwać z niewoli patrjarchalnie urządzanej rodziny, coraz więcej pomnaża ten nowy i dotychczas nieznany w Moskwie proletarjat. Kwestja o pracy kobiet stała się jedną z najwięcej piekących kwestyj teraźniejszej chwili. Do wielkich prowincjonalnych miast a szczególnie do stolic przybywają tłumy, tysiące kobiet, szukając pracy i zarobku. Przyczyny tej emigracji są różnorodne. Tu przyjmuje udział i materjalna potrzeba i nie do wytrzymania nieznośne rodzinne życie, od którego nie ma innego sposobu wybawić się jak stanąć o własnej sile. W emigracji tej znajdują się takie co zaledwo czytać i pisać umieją, i takie, które doszły do najwyższego dostępnego kobietom wykształcenia, jakie otrzymuje się w instytutach i gimnazjach. Tu są reprezentantki prowincjonalnego mieszczaństwa i bogate kobiety, które porzuciły dom rodzinny dobrowolnie, szukając własnemi siłami środków do życia. Kiedy w Moskwie kobietom pozwolono zajmować miejsce nauczycieli w gimnazjach, to na ośm miejsc opróżnionych podało się sto kobiet, które pragnęły skorzystać z tego prawa. W tejże Moskwie w 1870 r. gdy zażądano 12 nauczycielnk dla sześciu nowych miejskich szkół i otwarto kurs pedagogiczny, to na lekcje zaczęło uczęszczać 260 kobiet, a na wspomniane posady podało się 200 kandydatek. W Kazańskim uniwersytecie uczyło się położnictwa w 1869 r. 180, w 1870 — 75 kobiet. Na kursa dla kobiet w Petersburgu uczęszczało 200 kobiet. Pod adresem do ministra oświecenia publicznego, który podały kobiety z Charkowa, prosząc o dopuszczenie ich na kurs uniwersytecki, podpisało się 60 kobiet z których większa połowa była przygotowaną do wstępnego egzaminu. Ofiarowanie pracy kobiecej jest wielkie, lecz żądania tej pracy są bardzo małe. W Petersburgu bowiem jest nie mniej jak 100 tysięcy kobiet, które muszą żyć z pracy rąk własnych.

Wiele tam można spotkać nędzy, poniżenia chorób i przedewczesnych zgonów wśród tego młodego pokolenia kobiet, które prosi tylko o prawo do pracy i do gruntownego wykształcenia.

Praca guwernantki jest ciężka i źle się wynagradza; przepisywanie nie popłaca a strasznie zużywa siły i zdrowie, bo żeby żyć z przepisywania potrzeba pracować dzień i noc. Położenie wyrobnic jeszcze smutniejsze. Szwaczka petersburska nie może zarobić więcej jak 5 rubli na miesiąc; szycie rękawiczek niesie 3 r. zszywanie skórek futrzanych dwa i pół rubla. Wyrobnica moskiewska cierpi nierównie więcej jak europejska, bo jeszcze społeczność nie przywykła do używania pracy kobiecej.

Kwestja żeńskiej pracy stała się tak ważną, że rząd musiał o niej pomyśleć. W początku 1871 r. postanowiono rozszerzyć koło żeńskich zajęć, gdyż pozwolono im zajmować się położnictwem, felczerstwem i nauczycielstwem. Kobiety zaczęto przyjmować do służby przy telegrafach i na różne rachunkowe posady. I na tem koniec. A tym czasem ideje o kobiecej emancypacji przenikły wszędzie, wszędzie się rozwijają, pociągając za sobą coraz więcej kobiet potrzebujących pracy i wykształcenia. Ciężki zarobek na życie, położenie niepewne, prowadzi nieraz do najstraszliwszej nędzy lub... do rozpusty. Kwestji pracy kobiecej największą klęskę zadały tak zwane nihilistki, zrekrutowane w klasie dostatniej, które przystały do ruchu nie z potrzeby i przekonania lecz dla tego że to było w modzie, że to schlebiało ich próżności. Nihilistki wkładały niebieskie okulary, krótko ostrzygały włosy, urządzały szwal nie, a potem pompatycznie sypiąc frazesami załatwiały swe małe interesiki domowe, a gdy i to się sprzykrzyło, emancypowane te dziewczęta brały się do dzienników mód, plotek, kart i tańców. Trudno oczekiwać czegoś od takich stronniczek pracy kobiecej, od takich przelotnych ptaków które zmieniają pióra przy każdej zmianie pogody. W zachodniej Europie i Ameryce ruch kobiecy jest silny, dla tego że do niego należą kobiety wszelkich stanów i partyj, bogate i proste subretki, wykształcone pracownice i wyrobnice nieszczęsne. W Moskwie nie tak się dzieje. Masa pań stoi jeszcze na tak niskim stopniu umysłowego i moralnego rozwoju, że nie jest dostępną dla jakich bądź gruntownych emancypacyjnych wpływów. Mięszając się do sprawy emancypacji, pani psuje ją a nie wzmacnia. Ona gada o swobodzie i równouprawnieniu, lecz praca jej jest zabawką, trud jej modą, a w gadaninie jej nie ma myśli gruntownej. Nie jedna z tych pań otworzyła pracownię i eksploatując swoje robotnice, z dumą myśli, że żyje własną pracą i że robi dobry uczynek! Takie pracownice mające własne a często nie małe środki utrzymania, chcąc mieć zamówienia, zniżają cenę pracy niezmiernie, i taką konkurencją niszczą byt tych drugich, biedniejszych. One mając majątek własny, nie znają ceny pieniędzy, więc gotowe są obniżyć pracę swoją do takiego minimum, do którego dojść nie mogą prawdziwe robotnice, które muszą solidaryzować się z sobą żeby nie być wyeksploatowanemi przez pracodawców, gdyż ta eksploatacja pozbawia ich możności wyżyć ze swego zarobku. Drugi rodzaj społecznej czynności pań moskiewskich nie jest lepszym ani trochę od pierwszego. Ich służba jako protektorek więzień, domów pzytułku, gimnazjów, jako członków komitetów dla rannych; ich bieganie, ich praca dla urządzania koncertów, balów, loteryj, żywych obrazów itd. nie zawiera w sobie nic gruntownego, a służy im tylko do odpędzenia nudów, do podrażnienia miłości własnej i ambicji a czasami także i mniej pochwalonych uczuć. Ileż to jest zakładów w Moskwie, gdzie po kilkaset dzieci męczą od rana do nocy, niszczą ich zdrowie pracą ręczną, szyciem, wyszywaniem na korzyść dobroczynnych protektorek! Większa część tych protektorek posiada także fizyczne, moralne i umysłowe wady, które przeciwnicy emancypacji poczytują za nierozłączone z naturą kobiety.

Oddzieliwszy od sprawy kobiecej ten szkodliwy dodatek, obaczymy, że w Moskwie są już teraz całe masy kobiet nie mających rodziny, ani środków do życia i szukających pracy, dla których kwestja wyzwolenia kobiety nie jest zabawą, lecz kwestją życia lub śmierci. Oświata tej masy jest rzeczą naglącą, obok zbadania teraźniejszych warunków bytu. Wśród biednych szwaczek, zarobnic, guwernantek, nauczycielek, porzuconych żon i dziewcząt, nie wiedzących gdzie przytulić głowę, sprawa kobiety znajdzie wiele zwolenniczek i pracownic. Lecz potrzeba wzmocnić te siły i dać im możność uorganizowania się rozumnego. Gdy oświata podniesie się i rozleje w masie kobiet, gdy emancypacyjna propaganda zwróciwszy siły swoje na młode pokolenie kobiet, wykształci w niem energiczne poczucie swobody i niepodległości, gdy więcej skorzysta z istniejących słabych środków dla swego wykształcenia, gdy wystąpi na scenę młode pokolenie, które rozwinie się pod więcej korzystnemi warunkami jak masa kobiet ostatnich dwóch dziesięcioleć, wtedy to sprawa kobiety posunie się naprzód!

STUDJA ESTETYCZNE

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

(Dokończenie.)

A teraz, zdawszy sobie sprawę z tego, co Grecy pięknem zwali, możemy porównać ich zmysł estetyczny ze zmysłem innych ludów. Porównanie to nie może być szczegółowem, bo musiałoby być przez osobne studjum sztuki innych ludów poprzedzonem, lecz mimo to możemy ogólne różnice i podobieństwa zaznaczyć i zapytać, czy różnice zależą na tem, że narody inne zupełnie

mają poczucie piękna, czy też na tem tylko, że poczucie owo inaczej i mniej rozwinięte.

Ideał ludzkiej piękności jest różnym u różnych narodów. Fakt to stanowczo już stwierdzony, na który materjaliści wielki nacisk kładą. Murzyn pięknym nazwie człowieka o wystających wargach i tłustym nosie; Chińczyk podziwia lisie oczka i twarz płaską; ale fakt ten daje się łatwo wytłumaczyć skoro pomyślimy, że u Murzynów i Chińczyków takie właśnie rysy są średnicą pomiędzy typami w Afryce i w państwie słońca widzianemi. Murzyn, który cieńkich ust nie widział, Chińczyk który orlego nosa nie zna, stworzyli sobie ideał rozumowy wedle tego co widzieli. To co byśmy typem Murzyna albo Chińczyka nazwali, jest dla nich ideałem, zdobytym wedle tego samego procesu umysłowego co i ideał grecki. Rozmaite plemiona ludzkie spotykały się i zmięszały już w najdawniejszych czasach na wybrzeżach Śródziemnego morza. Ztąd to wyrobiła się u rasy białej wielka rozmaitość rysów, obejmująca wszystkie odmiany istniejące w rodzaju ludzkim, i z tąd to wytworzono sobie tu, że tak powiem, najogólniejszy ideał, kształt dający ogólną miarę ludzkości. Narody mniej zmięszane typ jednostronny swojej rasy tak długo ideałem nazwą, póki w ciągłą i ścisłą styczność z innemi narodami nie wejdę. A i wtedy przez wzgląd na miłość własną nie odrazu od narodowego odstąpią pojęcia. Każdy człowiek przenosi swoje nad obce. Dopiero wtedy powstanie u ogółu nowe wyobrażenie ideału, gdy rasa sama pierwotną typowość zatraci.

Zresztą chińscy, japońscy i staro-egipscy artyści, którzy rysy twarzy swoich posągów wedle ojczystych typów kształtowali, podobnie jak Grecy, starali się o to, by ciału zdrowie, twarzy wyraz górnego pokoju nadać. I u nich usiłowano mniej więcej szczęśliwie, zdobyć techniczną doskonałość i matematyczną miarę. Można więc twierdzić, że tu tylko odmienne okoliczności podobnie ustrojony umysł do innego ideału powiodły.

Inną uderzającą różnicę w estetycznych pojęciach różnorodnych ludów stanowi miłość dziwactwa. Miłość ta najjaskrawiej jawi się u dzikich, którzy sobie członki amputują, czaszki ściskają, nosy i usta przekłuwają. Ale, gdy sobie przypomniemy, że takie dzikie ludy nie umieją w inny sposób ludzką wolę artystycznie stwierdzić, zrozumiemy może ten objaw. Grek równał się z naturą tworząc tak rozumnie jak ona — i naśladując ją aż do zupełnej ułudy. Dziki tego uczynić nie może. Nie mniej przeto i on pragnie okazać się twórcą. Przeistacza tedy naturę, łamie ją i przedrzeźnia się jej. A choć tem chwilowo zmieni typ narodowy, wkrótce tak przywyknie widzieć typ ów zmienionym, że sobie ideału bez dowolnego kalectwa nie wyobrazi. Zresztą takie kalectwo bywa dowodem indywidualnej tęgości.

To samo prawie da się i o chińskich dziwactwach powiedzieć. Sztuka chińska tworzy dziwolągi nie umiejąc dobrze natury naśladować; japońska technicznie wyższa nie bawi się już dziwolągami. Tam chodzi artyście o to, by dowieść ludziom, że umie wymyślić rzeczy przez naturę nie wymyślone, i tryb to tak naturalny, że nawet grecka sztuka potroszę jemu hołdowała tworząc Centaurów, Chimery i tyle innych dziwadeł. Zresztą i Chińczycy strzegą w tworach swoich matematycznej miary.

W inny ekstrem wpadły inne narody, a mianowicie Egipcjanie i Hindusi. U nich miary nie ma. W tem, że wyobraźnię ogromem dzieł, i mnóstwem często dziwacznych szczegółów przygniatają, pragną dać dowód artystycznej twórczości. Sztuka tamtejsza nie zdała sobie sprawy z tego, że co pewną miarę przejdzie, przez umysł widza objętem nie zostanie. Ztąd gmachy tak kolosalne, że ich ogrom przewyższa o wiele to co oko zmierzyć może; z tąd takie mnóstwo dziwacznych często szczegółów, że nikt nigdy wszystkich nie dostrzeże. Umysł patrząc na tysiączne szczegóły nie rozjaśni się i nie zbogaci, tylko zakołkuje. Ludy te dają za wiele. Ale i to zboczenie nie zostało zupełnie obcem sztuce greckiej. Kolos Apollina w Rodzie przechodził wszelką estetyczną miarę, Manzoleum w Halikarnasie było pokryte pięknemi wprawdzie ale nadto licznemi płaskorzeźbami, a świątynia Koryncka sąd widza zbytnim tłumem kolumn wikłała.

Są wreszcie niektóre narody, które piękno w okropności widzą. Dzieła ich sztuki przedstawiają kalectwo i strupieszałość. Zdaje nam się, że dwojakie a różne względy ten dla nas wstrętny smak budzą. Pierwszym i częstokroć najważniejszym względem jest pojęcie nie mające związku z estetyką. Ludy owe miewają ponure wyobrażenie o bóstwie, i przedstawiają sobie, że bóstwo lubuje się w śmierci i cierpieniu stworzeń. Okropne tedy utwory sztuki nie mogą być przyjemnemi dla widza, i owszem mają go w pewnym sensie umartwić. Są to ofiary czynione krwiożerczym bóstwom, albo *mementa mori* dla wiernych— są to wreszcie pomniki po nadzwyczaj świętych i surowych pokutnikach. Europejczycy nie powinni w takich artystycznych straszydłach dowodu odmiennej organizacji ras niższych szukać, bo i w europejskiej sztuce nieobce takie przykłady: przypomnę tu tylko wszystkie średniowieczne tańce i tryumfy śmierci, przypomnę i dziś przez wielu nabożnych odwidzaną klasztorną piwnicę w Rzymie, której sufit cały ozdobiono arabeskami z suchych kości umarłych mnichów — przypomnę wreszcie srebrną trumnę Marji Teresy, ozdobioną najokropniejszemi znamionami śmierci.

Ale działa tu i drugi wzgląd nieobcy sztuce. Nerwy przyzwyczajone do ciągłego wylewu krwi, albo zbytnią rozpasane rozpustą, domagają się ciągłych drastycznych środków rozbudzających. Tylko okropność je wstrząśnie. Ztąd to powstał tak powszechnie podziwiany Laokoon. Ztąd to wzięły się krwawe rzymskie i hiszpańskie igrzyska, w tem również początek takich dzieł jak powieści i fantazmagorje Flauberta.

Zdaje mi się, żem wyczerpał główne różnice estetycznego poczucia ludów rozmaitych. Zdaje mi się, że i tak pobieżna wzmianka może po części przekonać, że dla tych przynajmniej różnic nie jest koniecznem przypuszczanie organicznej i fizycznej, że tak powiem, różnicy w estetycznej naturze odmiennych narodów. I owszem, wszystkie te zboczenia mają swój początek w dwu uczuciach wszystkim ludom wrodzonych: w miłości własnej, i w chęci poznania i pokochania zewnętrznego świata. Tylko okoliczności nadają rozmaity wyraz tym uczuciom.

Zostaje już tylko pytanie, jaka różnica zachodzi między wyrazem tych uczuć u Greków a u innych ludów Europy. I tu poprzestaniemy z konieczności na ogólnym zarysie, a ograniczymy się na danych, które za pomocą sztuk plastycznych otrzymujemy. A nie będziemy nawet mówić o poczuciu barwy. W samej treści naszej rozprawy nie prawiliśmy o tem poczuciu, przeto i tu musimy o niem milczyć. Nie mniej i z tych samych przyczyn przemilczymy o perspektywie i kompozycji malarskiej.

Otóż cechą ogólną sztuki rzymskiej i nowożytnej jest to, że w jednej i drugiej idealizm i jasność matematyczna mniejszą rolę odgrywają, jak w sztuce greckiej. W twarzach ludzkich szukamy zazwyczaj za charakterystyką portretową, indywidualną, i nie wstrzymujemy się czasem nawet od najwyraźniejszej brzydoty. Wielką ilością figur i pobocznych szczegółów wikłamy zbyt często grupy, a pojedyńcze części komplikowanych budynków, w ten sposób z sobą zlewamy, że są pozbawione silnego, greckiego, indywidualnego, idealnego życia. Z tąd to wszystkie prawie dzieła późniejszej sztuki budzą mniej silne bezpośrednie wrażenie.

Należy jednak pamiętać, że od średnich wieków począwszy, często nieznane Grekom zalety temi wadami okupujemy. Nie da się to może w tym stopniu o sztuce rzymskiej powiedzieć, ale to jest niezawodnie prawdą od czasu jak stanął kościół świętej Zofji w Carogrodzie co do budownictwa, a co do innych sztuk od czasów odrodzenia w piętnastym wieku.

Chrześcijaństwo przyniosło z sobą dwa żywioły nieznane starożytności. Jeden z tych żywiołów ma charakter czysto uczuciowy i religijny; drugi pośrednio tylko wypłynął z Chrześcijaństwa i ma charakter bardziej rozumowy świecki. Uczuciowym żywiołem jest wzgarda dla świata. Ona to tłumaczy tysiąc zjawisk estetycznych, i ostrołuki, i iglice, i filarki gotyckie porwane nieokiełzaną do nieba tęsknotą, i senny półcień kościołów, i kopuły romańskie i renesansowe zawieszone gdzieś w powietrzu, i ekstatyczne a często wychudłe postacie świętych, a wiotkie widziadła aniołów, i przewagę bardziej eterycznego malarstwa nad cielesne rzeźbiarstwo, i cały duchowny charakter sztuki.

To odwrócenie się od świata przyprowadziło z sobą konieczny zwrot na zewnątrz, i zwyczaj metafizycznej, albo mistycznej analizy własnej duszy, zupełnie światu starożytnemu nie znanej. Ztąd to poszło, że ludy chrześcijańskie od sztuki większej strawy dla myśli się domagały. Grekom chodziło oto, by dzieło sztuki było natychmiastowo zrozumiałem; nowożytny i średniowieczny umysł domaga się tego, by mógł długo badać i podziwiać rozmaite i często zrazu ukryte zalety, przyczyniające się do tego, by się arcydzieło jednością i ograniczeniem stało. Ztąd to pałace podzielono na piątra, kościoły na systemata sklepień, filarów, naw, łuków, wież i kopuł, tworzące organizmy wypłacające sowicie długie badanie. Dla tego to obrazy i rzeźby przedstawiają ludzi będących pod władzą różnorodnych delikatnie cieniowanych, a najczęściej nie gwałtownych z grecka, uczuć i namiętności.

Dla tego to sztuka chrześcijańska i nowożytna, i w rzeźbie i w malarstwie nietylko namiętności, ale charaktery za pomocą wyrazu twarzy pojedyńczych uwydatnia. Wkroczyła w zakres, w którym w starożytności tylko poezja w pewnej mierze bawiła, choć i w poezji greckiej malowanie namiętności nad malowaniem charakterów przeważa wszędzie, z wyjątkiem jednego może Eurypidesa.

Badawcza głębokość i mistyczne uniesienia niszczyły czasem, i nawet zbyt często, idealizm grecki i grecką jasność. Ale zawsze tak nie było. W wielkich arcydziełach gotyckich, filar wyraźnie oddzielony od łuku tworzy przecie osobną jednostkę, w stylu romańskim, w katedrze

Florentyńskiej i u Dominikanów w Krakowie nadał szeroki łuk spokój, miarę i wykończenie mistycyzmowi budowy. Półkolumna rzymska i renesansowa oddzieliła niejasno indywidualne łuki. Religijni malarze włoscy, a przedewszystkiem Michał Anioł nadali swoim postaciom wyraz zadowolonego już i spokojnego uniesienia, podobnego do szczęścia Fidjaszowych bogów, a wyższego jeszcze tem, że widać w niem ślady cierpienia zwyciężonego miłością. Leonardo da Vinci, Tycjan i Rafael, mało tylko od greckiego ideału się oddalali, a mimo to nadawali twarzom cechę rozmaitych, a jednak zawsze prawie wyższych charakterów, a choć nasz Matejko czasem i zupełnie brzydkie wprowadza postacie, i on umie znamiona rozmaitych potężnych charakterów i tłumionych namiętności, prawie na idealnie pięknych twarzach uwydatniać.

Nie należy dziś chrześcijańskie uczucie i nowożytną głębokość dla helleńskiej jasności i helleńskiego idealizmu poświęcać. Zdobycze to zbyt cenne, i zdobycze, które jakby wyższe namaszczenie dziełom sztuki nadają. Ale należy za wzorem wielkich budowniczych piętnastego, i wielkich malarzy i rzeźbiarzy szesnastego wieku, starać się o to, by od greckiego ideału tyle tylko odstąpić, ile tego istota nowszej sztuki koniecznie jużwymaga. Wtedy tylko można wyjść na najwyższe szczyty artystyczne, i dla tego, niemniej jak dla poznania niezrównanej techniki, należy zawsze badać grecką sztukę.

Koniec części pierwszej.

Dzieciom.

Gdy ciężko mi i czarno i sieroco,
I boję się w toń zajrzeć mego ducha,
Bo pustka tam bezpłodna, martwa, głucha —
A po nad nią — jak błysk burzliwą nocą —
Tylko dwie skry — to gasną, to migocą:
Przeszłości wdzięk — i w bliską śmierć otucha!

Gdy z moich ścian gorączka mnie wygoni,
I z kąta w kąt jaskółcza tęskność rwie,
A w uszach wciąż straszliwy poszept dzwoni:
O cichym śnie — o lubym, wiecznym śnie...
Wtedy do was — o dziatwo, jasnej skroni, —
Pomiędzy was — spieszę — ratować się!...

Maleńcy wy!... jakież wy macie leki,
W uśmiechu tym, co białe ząbki szczerzy,
I jakiż czar — anielskiej czar opieki —
W rączętach tych, co mnie oplotą, leży?
Że łza — cny gość — odwilża mi powieki,
Na skroni żar wiatr ulgi wieje świeży!

Cherubów rój!... Błękitne, rzewne oczy!
Cera, jak puch, — rumieniec niby kwiat,
I szczebiot ów — dla matek tak uroczy
Pół szept, pół śpiew — ptaszęcych gwarów brat!
Wszystko to wraz w mrok duszy mej się tłoczy,
Jak słońca blask do rdzawych kaźni krat!

I cud to, cud!... o dziatwo złotowłosa,
Zawsze twój gwar w mej duszy bunty koi,
Gdzie jesteś ty — tam wierzę ja w niebiosa,
Tam w nowy hart się pierś i wola zbroi!
Więc gwarzcie wciąż — o dobroczyńcy moi
Jak ul — jak puszcz muzyka srebrnogłosa...

Tak, gwarzcie wciąż — aż póki pod wierzbami
Igrać i wianków nie przyjdziecie wić,
A matka — kładąc palec nad ustami,
Nie rzeknie, zabaw przerywając nić:
„Ten smutny pan, co się tak bawił z wami,
Śpi w ziemi tu — więc trzeba cicho być!...“

Ostrów Czerwiec 1876. *Władysław Ordon.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Bolejąca dama.

— Pan dziś nie odjedziesz, Arturze, rzekł ojciec Felipe do młodego człowieka, gdy ten następnego poranku przyszedł do misyjnego refektarza na śniadanie.

— Za godzinę będą już w drodze, ojcze, odrzekł Artur wesoło.

— Ale nie w drodze do San Francisco, dodał ojciec; posłuchaj mnie pan! Wczorajsze jego życzenie spełni się. Będziesz pan mógł mieć pożądaną rozmowę z piękną niewidzialną. Rozumiesz pan? Donna Dolores po pana przysłała.

Artur spojrzał zdziwiony. Być może, iż twarz jego nie wyrażała tyle radości, ile jej spodziewał się ojciec Felipe, gdyż podniósł oczy swe do góry, filozoficznie zażył tabaki i mruknął:

— Taki to świat!... Teraz, gdy życzenia jego są spełnione, nic go to nie obchodzi... o Matko boska!

— Czy mam to zawdzięczyć twojej życzliwości, szanowny ojcze? zapytał Artur.

— Boże uchowaj! odparł ojciec Felipe pospiesznie. Wierz mi mój synu, że ja o niczem niewiem. Gdy donna wczoraj przejeżdżała tedy przed dzwonieniem na Anioł pański, nic o tem nie mówiła. Być może, iż jestto przysługa twojej przyjaciółki pani Sepulvida.

— Wątpię, rzekł Artur, była ona o wszystkiem co tego dotyczy tak dobrze poinformowana, że konferencja z donną Dolores nie jest konieczną. Ale dobrze! Pójdę!

Niemniej jednak czuł się zaniepokojonym. Jadł mało i był milczący. Wszystkie niepokojące uczucia, które dniem przedtem stumił z tak zadowalającą logiką, znowu się rozbudziły — i z większą potęgą. Czyż miałyby istnieć inne jeszcze dotyczące tej niedogodnej koncesji fakta, których pani Sepulvida nie wyjawiła mu? Czy zawierał się jaki szczególny powód, który tę dziwną pustelniczkę, dotąd unikającą osobistego porozumienia się, spowodował teraz do żądania osobistej rozmowy, jak się zdawało, wcale nie potrzebnej? Czy było możebnem bezwłoczne wejście w stosunki z Gabryelem lub Gracją, i czy tym sposobem dawniejsze dzieje jego życia nie zostaną poznane przez jego klientkę? Czy w jakikolwiek sposób nie wykryto donnie Dolores w jakim stosunku znajdował się on do tej przyszłości?

Jeżeli wczoraj, gdy pani Sepulvida po raz pierwszy wymówiła nazwisko Gabryela Conroy, był w stanie zastanowić się nad tem wszystkiem, czyż nie mógł zrobić tego samego dziś? Czy od tego czasu zmienił się stan rzeczy? czy w głowie jego powstało nowe postanowienie, dla którego podobne wykrycie mogło być stanowczem? Bynajmniej! A jednak nie mógł pomyśleć bez niepokoju o przypadkowem spotkaniu się wczoraj z donną Dolores na cyplu jodłowym i zaproszeniu na dziś. Czy śmieszne położenie, w którem go ona z donną Marją widziała, poparte może niedyskretnemi słowami poczciwego ale wiekiem osłabionego ojca Felipe, nie wystarczało do tego, by obruszyć na niego piękną jego klientkę, w razie gdy ta uwiadomioną była, o dawnym jego stosunku do Gracji? Nie tylko pospolite natury bywają podejrzliwe. Bystra, do szlachetnych popędów zdolna, gorączkowo rozbudzona wyobraźnia, tworzy teorje daleko śmieszniejsze, daleko mniej pochlebne ludzkości, aniżeli najniższe pomysły ciemnoty i słabości umysłowej. Artur znajdował się w gorączkowem wzruszeniu; miotany najsprzeczniejszemi popędami sentymentalizm jego przerażał się rozmowy, podczas gdy duch pożądał jej przeciwieństwa. Na godzinę przed czasem, który donna Dolores wybrała, wsiadł na konia i w bystrym galopie popędził w kierunku rancho pod „Świętą Trójcą.“

Miejscowość ta leżała w odległości około trzech mil od brzegu. Gdy jednak wjechał w równinę, w której żaden strumień nie orzeźwiał oka, i która była jakby upieczona przez palące słońce i pokrajana w wąskie małe wąwozy i jary, krok jego konia począł coraz bardziej zwalniać się mimowiednie. Nie mogło być nic bardziej dzikiego, martwego i nieruchomego nad tę szeroką słońcem spieczoną pustynię. Wydała się ona jak bezgraniczne, dzikie zachodnio północnemi wichrami zorane morze, bezsilną swą zapalczywość wywierające na płaszczyznę bezwładną. Jak okiem zasięgnąć, martwa samotność nigdzie przerwaną nie była; nawet czarne stada bydła w odległości błąkające się, nie ożywiały jej, a tylko zwiększały kontrast. Ani wiatr, ani słońce, ani niebo nie wywoływały zmian w tym szarym bez wyrazu krajobrazie. Był on symbolem cierpliwości — znużonej, bez nadziei — ale cierpliwości, która ciągle czekała.

Jechał już około godziny, gdy wtem, w odległości może jednej mili, dostrzegł ciemną linję murów, które w nieregularnych, łamanych zarysach wystąpiły na widnokrąg, jakby z pod ziemi. Na pierwszy rzut oka wydało mu się, iż jestto szereg skał na równinie. Ale wkrótce dostrzegł matowo czerwone dachy po nad ciemnemi ścianami, i gdy się przeprawił przez błotnistą rzeczkę, dojechał do niskich murów dziedzińca, których dotąd nie zauważył. Kilka wron zakrakało mu powitanie w rancho pod „Świętą Trójcą.“ Był to pierwszy głos, który oprócz brzęczenia swych ostróg i głuchego tententu konia, od godziny posłyszał. Poprawił się na siodle, scisnął konia ostrogami, puścił nagle cugle i dopędził kilkunastu wolno jadących i pozornie na wszystko obojętnych vaqueros, którzy już od godziny dostrzegli go i czekali na niego przy bramie dziedzińca. Gdy przybliżył się ku nim, ustawili się po obu stronach bramy, pozdejmowali lakierowane swe czarne sombreros (kapelusze) i dawszy koniom ostrogi w jednej chwili rozpierzchli się na wszystkie strony. Gdy stanął na wybrukowanym cegłą dziedzińcu, żadnego z nich już nie było.

Indyjski służący odprowadził w milczeniu jego konia. Inny, również milczący, powiódł go korytarem, na którego niskich ścianach porozwieszane były siodła, deki, czapraki i inna uprząż. Następnie wszedł do pewnego rodzaju przedpokoju, którego nagie białe ściany przedstawiały rażącą sprzeczność ze ścianami korytarza; tam znalazł innego Indjanina, starego, posiwiałego, z twarzą jak pomięty liść tytoniowy, który cierpliwie czekając siedział na drewnianej ławce. Artura żywej wyobraźni wydało się, że stary siedział tam już od założenia misji i zestarzał się czekając. Gdy wszedł, stary podniósł się i z ozna-

kami hiszpańskiej grzeczności wskazał na inny pysznie przyozdobiony pokój, a potem z ukłonem wyniósł się. Chociaż Artur był należycie obznajomiony ze wszystkiemi temi formalnościami, jednak obecnie wydały mu się one niezwykłemi, a gdy w przeciwległej ścianie pokoju otworzyły się drzwi, zniecierpliwiony nieco odwrócił się. W tej samej chwili rozeszła się dziwnie przyjemna łagodna woń i stara kobieta o brunatnej twarzy weszła z uszanowaniem i zapytała:

— Czy widzę don Artura Poinsett?

Artur skinął głową.

— Donna Dolores jest nieco cierpiąca i przeprasza pana, że musi przyjąć go w swoim pokoju.

Artur powtórnie skinął głową.

Stara wskazała na otwarte drzwi. Poszedł wąskiem przejściem, wybitem w ścianie, do innego pokoju na przeciwległej stronie i stanął na progu.

Nawet powolne przejście ze słonecznej jasności w dziedzińcu do głębokiego cienia tych dwóch pokojów, nie zdołało przygotować jego oczu do ciemności jaka tam panowała. W pierwszych sekundach mógł odróżnić tylko niejasne zarysy kilku ciemnych przedmiotów. Powoli dostrzegł łóżko, klęcznik i sofę pod ścianą. Skąpe światło, wciskające się przez dwa okna, podobniejsze do dwóch szpar wybitych w grubym murze, z początku nie dozwoliło mu nic więcej widzieć. Później, ujrzał na sofie postać siedzącą i napół nachyloną, której twarz osłonięta była częścią wachlarzem, a biała suknia w pięknych fałdach ku ziemi spadała.

— Pan mówisz po hiszpańsku, don Arturo? ozwał się czystym kastylskim akcentem, dziwnie melodyjny głos z po za wachlarza.

Artur odwrócił się, zdjęty jakąś niepojętą trwogą w stronę, z której głos wychodził.

— Cokolwiek, odrzekł.

Zwykle był on dumny ze swej znajomości hiszpańskiego języka, ale tu taka grzecznie konwencjonalna skromność, była zupełnie na swojem miejscu.

— Racz pan usiąść, don Arturo.

Poszedł ku krzesłu, które mu postawiła stara kobieta w niewielkiej odległości od sofy i usiadł. W tej samej chwili, spokojna postać szybkim i zręcznym ruchem, zwinęła wielki czarny wachlarz, po części twarz jej dotąd zakrywający, i obróciła się ku niemu.

Nagle serce Artura mocro zabiło, a potem zdawało się zatrzymać na kilka sekund. Oczy, które spotkały się z jego oczyma, były wielkie, połyskujące i niepospolicie piękne, rysy delikatne, europejskie, doskonale wymodelowane, twarz najcudniejszego owalu — ale cera podobna do polerowanej miedzi! Następna chwila zastała go zajętego najrozliczniejszemi porównaniami tej cery — do złotego Sherry, do lekko zabarwionej piany morskiej, do jesiennego listka, do wewnętrznej kory morskiej wiśni. Jednego tylko był pewny, że była to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział.

Być może, iż donna wyczytała to w jego oczach, gdyż znowu spokojnie rozpuściła swój wachlarz i powoli podniosła go ku twarzy. Wzrok Artura zsunął się po pięknych linjach cudnej postaci, aż do małej nóżki w białym jedwabnym pantoflu. Skromny jej ubior, z wyjątkiem koloru, mógł być poczytany, gdyby jeszcze był przy nim kapiszon lub kołnierz, za habit zakonnicy.

— Dziwisz się pan, don Arturo, rzekła po chwili, żem posłała po pana, gdy z początku komunikowałam się z nim przez pośredniczkę?...

Tak jest, ale następnie obmyślałam tę rzecz inaczej. Postanowiłam teraz nie robić żadnego kroku, dla przeprowadzenia moich pretensyj.

W jednej chwili Artur opamiętał się i począł mieć się na baczności. Niewiele słów, powiedzianych przez donnę, rychło przywiodło mu na pamięć zapomnianą przeszłość. Nawet harmonijny ton, w jakim było to wypowiedziane, nie miał teraz siły do stłumienia jego nerwowego wzruszenia. Przypuszczając, iż nastąpi coś najgorszego, zwrócił się powierzchownie spokojny, ale uważny, ciekawy i czujny.

— Czyś pani znalazła nowe dowody, czyniące rezultat wątpliwym? zapytał.

— Nie, odrzekła donna Dolores.

— Albo może jest w tem coś takiego... fakt jakiś, o którym donna Sepulvida zapomniała? ciągnął dalej. Oto są o ile sobie przypomnieć mogę, punkta, których mnie udzieliła, dodał — i z dokładnością, z wprawy wynikającą, opowiedział donnie Dolores w niewielu słowach to czego się dowiedział od pani Sepulvida. Piękna klientka wpatrywała się w twarz jego z ciekawością więcej aniżeli kobiecą. Gdy umilkł, rzekła:

— *Bueno!* Jestto właśnie to com jej powiedziała.

— Czy jest jeszcze co?

— Być może.

Artur skrzyżował ręce i z uwagą popatrzył. Donna Dolores, poczęła przesuwać swój wachlarz, jak paciorki rożańca.

— Poznałam niektóre szczegóły tej sprawy, don Arturo; jako adwokata być może, iż mogą one pana nie interesować, ale mnie, jako kobietę, blisko dotyczą. Gdy pan je usłyszysz odemnie, być może, iż powiesz mi, że takowe prawnych mego.. mego ojca pretensyj nie naruszają. Być może, iż pan nawet wyśmiejesz mnie z powodu mego postanowienia. Ale tyle już panu narobiłam kłopotu, że dla tego samego słusznem jest, bym go zawiadomiła, że nie prosta fantazja powoduje mną — nie, pan musisz wiedzieć dlaczego odwiedziny jego są bezowocne i dlaczego pan, znakomity adwokat, znalazłeś się zmuszonym marnować bezowocnie swój drogi czas z moją przyjacółką donną Marją.

Artur był zanadto zmięszany, ażeby zauważyć właściwe znaczenie, jakie donna tym ostatniem słowom nadała — co w innym razie nie uszłoby jego baczności; teraz pogłaskał tylko lekko czarną swą brodę i cierpliwie popatrzył w okno.

— To wcale nie są żarty, don Arturo, ciągnęła dalej donna Dolores; jestem kobietą i sierotą. Pan znasz moje dzieje. Jedyny przyjaciel jakiego miałam, pozostawił mię tu, jako właścicielkę tej rozległej posiadłości. Wysłuchaj mnie pan, don Arturo, a zrozumiesz, albo przynajmniej nie potępisz dziwnego uwzględnienia, jakie mam dla tych ludzi, którzy mi praw zaprzeczają. Gdyż to, co jej się wydarzyło, toż samo mogło wydarzyć się i mnie, gdyby przenajświętsza Dziewica ręki swej nademną nie rozpostarła.

— Jej?... któż to jest ta ona? zapytał Artur spokojnie.

— Przepraszam... Zapomniałam, że pan nic o tem nie wie. Posłuchaj więc. Wiesz już pan, że część gruntu, o którego koncesję rzecz idzie, jest w posiadaniu pewnego mężczyzny i jego żony... w posiadaniu niejakiego Gabryela Conroy. Dobrze!... Wiesz pan również, że nie uczynili oni żadnego kroku, dla wyjednania sobie należytego tytułu własności na ten grunt, a poprostu zajęli go w posiadanie. Dobrze! Otoż wszystko to nie jest prawdą, don Arturo.

Artur odwrócił się z nieukrytem zdumieniem.

— To nowa materja, powiedział, to jest punkt ważny pod względem prawnym.

— Kto wie? odrzekła donna Dolores obojętnie. Nie dla tego mówię o tem. Pretensja jest taka: Doktor Devarges, posiadający również koncesję na ten grunt, podarował ją siostrze tego Gabryela — rozumiesz pan?

Zatrzymała się i utkwiła oczy w Artura.

— Bardzo dobrze, odrzekł on ze wzrokiem ciągle ku oknu zwróconym; to wyjaśnia dokładnie obecność tego Gabryela na gruncie. Ale czy ona żyje? Albo jeżeli nie, to, czy jest on uprawnionym jej spadkobiercą. To jest pytanie i — przebacz mi pani, iż dodam — pytanie czysto prawne, a nie uczuciowe. Czy ta kobieta, która znikła... ta siostra... ta jedyna i wyłączna spadkobierczyni... była zamężna... czy miała dziecię?... bo w takiem razie spadek do niego należałby.

Cisza, która nastąpiła po tem zapytaniu, trwała tak długo, że aż Artur zwrócił się ku donnie Dolores. Ona tymczasem musiała zapewne dać znak indyjskiej swej służącej, która między nią a Arturem nachyliła się nad sofą. Po krótkiej chwili wierna służąca wyniosła się, pozostawiając panię swoją samą.

— Masz pan słuszność, don Arturo, rzekła wtedy donna Dolores z po za wachlarza. Widzisz pan z tego, że rada jego jest potrzebna, i że to co opowiadam panu, jako wyjaśnienie mego niedorzecznego udziału, może mieć prawną ważność. Kto wie? Dobrze, żeś mi pan przypomniał o tem. My, kobiety, jesteśmy szczere. Wy jesteście bystrzy i oględni. Bardzo dobrze się stało, żem zobaczyła się z panem.

Alfred skinął potakująco, i znowu przybrał urzędową postawę cierpliwej względności — ową postawę, która wszędzie na świecie wywołuje niezadowolenie i jednocześnie trwożliwy podziw klientów.

— Siostra, mówiła dalej donna, właściwa spadkobierczyni... znikła! Nikt nie wie gdzie? wszelki ślad jej zaginął! Ale teraz wynurza się oszustka! Kobieta, która bezprawnie przyswaja sobie stanowisko i nazwisko Gracji Conroy, siostry...

— Za pozwoleniem, przerwał spokojnie Artur, zkąd pani wiesz, że jestto oszustka?

— Zkąd... ja... wiem?...

— Tak; jakie pani masz na to dowody?

— Tak mi mówiono.

— A! rzekł Artur i znowu powrócił do urzędowej swej postawy.

— Dowody? powtórzyła szybko donna Dolores. Czy nie jest dostatecznym dowodem to, że poślubiła tego Gabryela, więc brata?...

— Naturalnie, że jestto ważny dowód moralny... a może nawet prawomocne świadectwo, odrzekł Artur z zimnym spokojem; ale w drodze prawnej, nie da się zaprzeczyć temu, że jest jego siostrą... gdy przypuścimy, że zechce to utrzymywać. Ale przepraszam — niech pani mówi dalej.

— To już wszystko, rzekła donna Dolores, niecierpliwie poruszywszy się.

— Bardzo dobrze! O ile zatem teraz sądzić mogę, rzecz przedstawia się tak: Pani masz w ręku koncesję na część gruntu, znajdującego się w faktycznem posiadaniu squattera. Ten przez swoją żonę, czy siostrę — w oczach sądu nie ma co do tego żadnej różnicy — rości sobie

prawo własności do tego gruntu, na zasadzie klauzuli testamentowej niejakiego doktora Devarges, który również posiadał na ten grunt koncesję.

— Bardzo dobrze, odrzekła obojętnie donna Dolores.

— A więc rzecz dotyczy wyłącznie pani i doktora Devarges. Zachodzi poprostu pytanie, który z dwóch dokumentów jest oryginalny, a zatem prawomocny. Wszystko co mi pani opowiedziała, nie zmienia właściwie stanu rzeczy. Ale zaczekaj pani!... Chwilę jeszcze! Czy mogę zapytać, jak pani doszłaś do wiadomości tych szczegółów, tylko co udzielonych?

— Przez listy.

— Od kogo?

— Nie miały żadnego podpisu. Piszący zobowiązywał się udowodnić wszystko co pisze; ale nazwiska swego nie wymienił.

Artur wstał z wymuszonym uśmiechem i powiedział:

— Czy mogę, nie okazując się natrętnym, zapytać, czy pani, na zasadzie takiego dowodu, chcesz zdecydować się, na zaniechanie pretensyj swoich do cennego majątku?

— Już powiedziałam panu, że nie jest to wcale kwestją prawną, don Arturo, odrzekła donna Dolores, szybciej nieco poruszając swym wachlarzem.

— Dobrze! więc rzecz tę, w której pani raczyłaś zasięgać mojej rady, rozpatrzmy z punktu moralnego, albo sentymentalnego. A więc, zaczynając... pani masz sympatję do jednej sieroty, która prawdopodobnie nie istnieje.

— Ale jej brat!...

— Już się połączył z oszustką i poślubił ją dla zabezpieczenia swych pretensyj. A ten brat... co pani dowodzi, że on również nie jest oszustem?

— To prawda, rzekła donna Dolores z namysłem.

— Tę małoznaczną kwestję w każdym razie musiał on prawnie uporządkować ze spadkobiercami doktora Devarges, jacy oni nie są.

— Prawda, powtórzyła donna Dolores.

— Jednem słowem, ja nie upatruję żadnej podstawy, nawet wychodząc z założenia pani, dlaczegożby pretensja ta nie miała być podniesioną. Sierota, do której pani masz sympatję, wcale nie bierze tu czynnego udziału. Przeciw pani stoi tylko brat, który, jak się zdaje, wcale nie namyślał się na tem, by zaszachrować prawo swej siostry. I jak już poprzednio powiedziałem, sympatje pani, chociaż najpiękniejsze i najgodniejsze uznania, będą bezużyteczne, dopóki sądy nie zdecydują przeciw panu Devarges. Ja radzę wystąpić przeciw pretensji. Jeżeli nie zawsze zwycięża prawo, to jednak wiem z doświadczenia, że przynajmniej prawo wygrywa najlepsze swoje karty, i że całe swe doświadczenie stara się w grę wprowadzić.

— Słusznie pan rozumujesz, don Arturo; ale wy, prawoznawcy, zanadto często jesteście tylko adwokatami. Przebacz mi pan; nie mam na myśli nic złego. Ale gdyby Gracja była — siostrą... to jaka wtedy byłaby rada pana?

— Takaż sama. Wywalczaj pani sprawę. Gdybym mógł obalić postanowienie pani, to uczyniłbym to. W tem zawiera się treść rzeczy — niech mię pani dobrze zrozumie. Ale jakże to się stało, że Gabryel poprzednio nie starał się o potwierdzenie? Czy korespondencja pani wyjaśnia tę rzecz? Jestto punkt na naszą korzyść... Pani pojmujesz... nasze przyzwolenie dopiero niedawno się znalazło.

— Prawda! w takim razie wszystko równo.

— I nie obecność tego rzeczywistego spadkobiercy, wypada na naszą korzyść.

— Dlaczego?

— Dla tego, że u przysięgłych zawsze znajdzie się pewne ludzkie współczucie dla pięknej sieroty... a zwaszcza gdy ta jest ubogą.

— Zkąd pan wiesz, że ona jest piękną? szybko zapytała donna Dolores.

— Tak przypuszczam. Jestto przywilej sierot, dodał z zimnym, grzecznym ukłonem.

— Mądry jesteś, don Arturo! Obyś żył jeszcze z tysiąc lat.

Teraz już nie możebnem było, by don Arturo nie dostrzegł ironji donny Dolores. Wszystkie uczycia w duszy jego zawrzały. Tajemnicza potęga tej piękności, której nie mógł nie uznawać; stanowczy jej ton, czy ten miał być przypisany przeświadczeniu o przewadze jej nad nim, czy też świadomości jego przeszłego życia — wszystko to podbudzało zimną jego dumę. Przypomniał sobie, że donna Dolores miała reputację pobożnej siostry miłosierdzia i surowej moralistki. — Gdyby miał być zganionym za to, że opuścił Grację, i że zamiary jego co do pani Sepulvida już w połowie się ziszczały, to bez żadnych uniewinnień lub sprostowań przyznałby się do tego. Wprawdzie musiałby wskutek tego — o czem był przekonany — stracić szacunek donny Dolores, której wartość umiał ocenić w ostatnich chwilach; ale taki już był rys charakteru tego młodego człowieka, że znajdowałby w tem pewne własne zadowolenie, inne względy na dalszy plan spychające. Według moralnych zasad własnego jego sumienia nazywał on to „pozostawaniem miernym samemu sobie.“ Pod pewnym względem miał słuszność.

Wstał, poszedł z wyrazem głębokiego uszanowania ku swej klientce, i rzekł:

— Czyż pani zdecydowała się już stanowczo? Czy dobrze panią zrozumiem, jeżeli będę dochodził pretensyj i starał się o pobicie drugiej strony? Czy też pani chcesz pozostawić ją w nietykalnem posiadaniu gruntu?

— Co pan radzisz? zapytała donna Dolores, utkwiwszy w niego oczy.

— Już powiedziałem, odrzekł Artur z cierpliwym uśmiechem. Pod względem moralnym, tak samo jak i prawnym, radą moją jest: dochodzić pretensyj.

Donna Dolores, odwróciła oczy z ledwie dostrzeżonym wyrazem niezadowolenia, i rzekła:

— Bueno! zobaczymy. Dość jeszcze mamy czasu. Ale usiądź pan, don Arturo! Cóż to znowu? Wszak nie odrzucisz naszej gościnności na dzisiejszy wieczór?

— Obawiam się, rzekł Artur z poważną grzecznością, że wypada mi bezwłocznie powracać do misji. Odjazd mój już o jeden dzień opóźniłem. Jutro oczekują mnie w San Francisco.

— Niech oczekują. Możesz pan napisać, że zatrzymują tu pana ważne sprawy, a Diego pojedzie na własnym moim koniu, aby dostać się do parowca, dziś wieczorem odchodzącego. Jutro będzie w San Francisco.

Nim jeszcze zdobył się na odpowiedź, zadzwoniła już w mały, tuż koło niej stojący dzwonek.

— Ależ, pani!... zawołał Artur pospiesznie.

— Rozumiem, przerwała mu donna Dolores. Diego! rzekła prędko, gdy służący wszedł do pokoju, osiadłej natychmiast „Jowitę“ i przygotuj się do drogi, a potem przyjdź tu. Przepraszam pana, rzekła, zwracając się do Artura, chciałeś pan powiedzieć, że czas jego jest cenny. Od jego tu obecności zależy bardzo wiele!... Dobrze! Napisz pan do swoich wspólników, że ja wszystko zapłacę, że nikt nie jest wstanie zapłacić tak wielkiej sumy za usługi panu jak ja. Napisz pan, że musisz tu pozostać.

Chociaż Artur uczuł się nie miło dotkniętym, nie mógł jednak nie spojrzeć na nią z nieudanem zdumieniem. Szlachetny ton, z jakim wydawała rozkazy; nieograniczone prawie panowanie, nad stu prawie służącymi; pewne lekceważenie ogromnych dochodów będących w jej rozporządzeniu, jak to postępowanie zdawało się okazywać, wszystkie te przymioty podniosły ją w jego oczach. Rumieniec wystąpił jej na twarz ze wzruszenia, mały pantofelek stukał niecierpliwie w podłogę, a oczy błyszczały w ciemności. W tem spojrzała na Artura i zawahała się.

— Przebacz mi pan, rzekła. Źle zrobiłam. Przebacz mi, don Arturo. Jestem zepsuta kobieta, która pięć lat szła własną swoją drogą. Tak często zapominam, że oprócz mego małego państwa, jest jeszcze świat. Jedź pan! A ponieważ tak być musi, jedź pan zaraz.

Padła na sofę, i na pół zakryła twarz swą wachlarzem i z błagalnym wyrazem opuściła swe rzęsy na oczy.

Artur przez chwilę — ale tylko przez chwilę — stał niezdecydowany i wahający się, potem rzekł:

— Pozwól mi pani podziękować sobie za to, że umożebniasz mi spełnienie obowiązku, nie tracąc przyjemności. Jeżeli posłaniec pani jest zręczny i wierny, to niech tak będzie. Zostanę.

Zwróciła się szybko ku niemu, i uśmiechnęła — śmiechem, który tak rzadko ukazywał się na tych dumnych drobnych ustach i w tych ciemnych melancholijnych oczach; śmiechem, który jej białe ząbki w takim dziwnym kontraście z cerą jej twarzy postawił; śmiechem, który nawet gdy zniknął! pozostawił po sobie wspomnienie w dołkach na oliwkowych policzkach i jakieś wilgotne ciepło w oczach — tak, że Artur uczuł jak mu gorąca krew w twarzy uderza.

— Tu obok w pokoju znajdziesz pan przybory do pisania. Tam przyjdzie do pana Diego, rzekła donna Dolores, a ja wkrótce powrócę. Najpiękniej dziękuję!

Podała mu malutką brunatną rączkę. Artur nachylił się na chwilę nad nią, a potem szybko z biciem serca wyszedł do przedpokoju.

Gdy drzwi za nim zamknęły się, donna Dolores złożyła swój wachlarz, padła na sofę, i zawołała szybkim i cichym głosem:

— Manuela!

Ukazała się stara kobieta z twarzą przerażoną, i podbiegła ku sofie. Ale przyszła zapóźno. Pani jej zemdlała. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

JÓZEF TRETIAK.

Postać Karpińskiego z wielu względów zasługuje na szczegółowe opracowanie. Jest on naprzód najlepszym lirykiem polskim ośmnastego wieku, powtóre ze wszystkich poetów stanisławowskiej epoki najbardziej się zbliża pewnemi

właściwościami swej poezji do tonu epoki romantycznej, nareszcie jako człowiek może służyć za przedmiot ciekawego studjum psychicznego, do którego materjały sam podaje w swoich pamiętnikach. Obok tego niemniej ważnym jest względem popularność poety, popularność, która się nie zamykała w salonach, ale zstąpiła pod niską strzechę mało-szlacheckich dworków, a nawet do chaty zagrodnika wiejskiego. Gdy zaś od pewnego czasu zaczęto popularność tę wystawiać jako bynajmniej niezasłużoną, gdy i o osobie poety wbrew dawniejszej sympatji, jaką był otoczony, zaczęły się mnożyć sądy niepochlebne, to wynikła potrzeba szczegółowego zbadania, o ile dawniejsza popularność była uzasadnioną, i o ile nowsze sądy mają prawo do jej obalenia. Tej to głównie potrzebie chce odpowiedzieć praca niniejsza.

Życie Karpińskiego opowiedziałem prawie wyłącznie na podstawie pozostawionych przezeń pamiętników, a czasem nawet słowami z nich pożyczonemi. Wszystko cokolwiek się w nim znajduje u Korniłowicza (O życiu Franciszka Karpińskiego), Brodzińskiego (Mowa na posiedzeniu Warsz. Towarzystwa naukowego 1827), Wojcickiego (Żywoty sławnych ludzi), Kraszewskiego (Obrazy z życia i podróży) i u innych, z wyjątkiem niewielu szczegółów mniejszej wagi, ztamtąd jest czerpane. P. K. W. Wojcicki ogłosił w *Kłosach* 1869, że posiada nieznane listy Karpińskiego, ustępy jednak, które z nich przytoczył (a przypuszczam, że przytoczył najważniejsze) nie zdolne są bynajmniej rzucić nowego światła na postać poety, który w pamiętnikach otwiera całą duszę swoją przed czytelnikiem i najnaiwniej spowiada się ze swoich błędów, często nie wiedząc o tem, że to robi.

I.

(1741—1780).

(Otoczenie i wychowanie domowe Karpińskiego. — Wychowanie szkolne u Jezuitów. — Pierwsza miłość. — Śmierć ojca. — Wyjazd do Lwowa na teologję. — Próba zawodu adwokackiego. — Poznanie się z panią Ponińską i jej wpływ na poetę. — Zachowanie się wobec konfederacji Barskiej i wyjazd do Wiednia. — Powrót do kraju i zabranie się do roli. — Nadzieje Karpińskiego i poznanie się z księciem Adamem Czartoryskim.)

Franciszek Karpiński urodził się 4go października 1741 *) na Pokuciu we wsi Hołoskowie **), leżącej pomiędzy Kołomyją a Stanisławowem, o 3 mile od tego ostatniego miasta. Ojciec jego Andrzej, niezamożny szlachcic, był człowiekiem uczciwym, prostym, nie zepsutym obłudą i płochością wielko-światowego życia, od którego żył z daleka, ale też i prawdziwym symplakiem, jak się sam o sobie wyrażał, to jest nie miał najmniejszego ukształcenia. Wierzył w najrozmaitsze baśnie, w upiory, w czarownice jeżdżące na ożogach na Łysą Górę; utrzymywał, że widział Najświętszą Pannę na niebie w żółtym robronie, i że słyszał jak raz święty Józef przemówił z obrazu. Święcie też ufał astrologicznym i kalendarzowym przepowiedniom i chętnie w dom przyjmował wróżące Cyganki.

W chwili przyjścia na świat Franciszka wystawiony był na ciężką próbę, bo kiedy już żonę boleści rodzenia napadły, dano mu znać, że sławny rozbójnik Oleksa Doboszczuk ma dom jego nawidzić. Pan Andrzej nie znajdując lepszej rady, uszedł do pobliskiego lasu, zostawiwszy rozporządzenie, aby straszliwych gości jak najhojniej uraczyć. Była to może zresztą w ówczesnych stosunkach jedyna rada, przynajmniej w skutkach okazała się dobrą. Kiedy przybyli rozbójnicy, baba pilnująca zbolałej i niemej z przerażenia matki Franciszka, wziąwszy na ręce nowonarodzonego, przystąpiła do Doboszczuka i rzekła mu: oto ledwie godzina, jak się dziecko urodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób nam nic złego. Wymowne te słowa i uroczysta chwila wzruszyły serce rozbójnika, kazał towarzyszom swoim spokojnie się zachować, zjadł i wypił, co mu dano, dał babie trzy dukaty i odszedł, nie zrobiwszy żadnej szkody. Odchodząc tylko prosił matkę, aby na pamiątkę tej jego bytności dała nowonarodzonemu imię Aleksy, które sam nosił. Uważano, że dotrzymywać słowa rozbójnikowi nie warto nawet w tak niewinnej rzeczy i dano dziecku imię Franciszek.

Matka Franciszka, Rozalia z domu Spendowska, była kobietą równie cichą, prostą i bogobojną, jak ojciec, ale równie jak on zabobonną i nieukształconą. Franciszek w pamiętnikach swoich mało nam o niej zostawił wskazówek, ale ze wszystkiego widać, że daleko mniejszy wpływ na niego wywierała, jak ojciec. Grono rodzinne, wśród którego mały Karpiński odbierał pierwsze wrażenia, składało się jeszcze z dwóch sióstr i dwóch braci *), z których jeden o rok starszy od Franciszka, umarł w pięć lat po urodzeniu poety i naturalnie nie omieszkał pokazywać się domownikom po śmierci. Te ciągłe strachy i cuda pokazujące się w dworku hołoskowskim musiały szkodliwie oddziaływać na małego Franciszka i wiele przyczynić się do rozwinięcia w nim owej niezmiernej drażliwości, która stanowiła główne tło jego charakteru.

Nad gromadką rodzinną ojciec rozciągał patrjarchalną władzę, wcześnie nauczał dzieci artykułów wiary i surowo w nich karał złość, kłamstwo i swawolę. Kiedy pewnego razu mały Franciszek ukradł młockowi w stodole prosty nożyk, to ojciec, dowiedziawszy się o tem, kazał naprzód synowi paść do nóg wieśniaka i przeprosić go, potem ręką tegoż młocka wyliczył malcowi kilka rózeg, sam dodał jeszcze kilka za wstyd swój, jak powiadał, i wreszcie kazał sobie podziękować za karę pocałowaniem rękę. W kilka lat potem, kiedy Franciszek już był uczniem, ojciec spostrzegłszy jego swawolę w kościele, podszedł doń z cicha i publicznie wyciął mu suty policzek, dodając głośno, że złego i w kościele biją.

Pomimo tej surowości ojcowskiej, dobrze było Franciszkowi w domu, na łonie rodziny, i nie chciało mu się bardzo jechać do szkół, gdy przyszła pora. Już brat jego starszy Antoni od kilku lat był w stanisławowskich szkołach, teraz (1749) odwieziono tam małego Franciszka, już nieco czytać i pisać umiejącego, aby pomału przywykał do szkoły *). Było to w zimie; gdy ojciec po objedzie odjeżdżał ze Stanisławowa, Franciszek cicho przysiadł się za saniami i dopiero w pół drogi kaszlaniem dał znać o swojej tam obecności. Nie pomógł heroiczny ten środek; na miejscu zawrócono konie, odwieziono przyszłego studenta napowrót do Stanisławowa i zakończono sprawę kilkunastu rózgami.

Z Franciszka student był wyborny; uczył się dobrze, do swawoli był zawsze jednym z pierwszych. Już przytoczone powyżej zdarzenia świadczą, że chłopak żywego był temperamentu; teraz życie szkolne otwierało mu pole do tysiącznych figlów. Ale ta żywość temperamentu miała i swoje poważne strony, jak np. przyjaźń, którą mały Franciszek zawarł z dwoma kolegami, Sosnowskim i Malickim, przyjaźń, która miała przetrwać wszystkie próby i nie kończyć się z tej strony grobu. Sosnowski umarł wkrótce, a ciało jego przyprowadzono do Stanisławowa i złożono w grobach kollegiaty naprzeciw okien domu, w którym mieszkał Karpiński. Cóż tam było strachu, żeby się Sosnowski nie pokazał, stosownie do uroczystej umowy, którą był zawarł z Franciszkiem, że kto z nich pierwszy umrze, ten się drugiemu pokaże. Długo po nocach nie mógł sypiać Karpiński, wreszcie w religji zaczerpnął odwagi, wyspowiadał się, przyjął komunję, i w nocy poszedł do kraty grobowej, wywołując ducha przyjaciela. Duch się nie ukazał, ale Franciszek spełnił czyn niesłychanej, jak na swój wiek, odwagi.

Religijność, która miała stanowić tak wybitną cechę jego poezji, wcześnie się w nim, jakkolwiek przemijająco, objawiła. Ten sam chłopak, który z prawdziwem zamiłowaniem wybijał żydom okna, towarzyszom oczy zasypywał piaskiem i tysiączne wyprawiał psoty, nasłuchawszy się żywotów świętych pustelników, przejął się nadzwyczajną chęcią ich naśladowania.

(C. d. n.)

---

*) W bibljografji Estreichera datą urodzin poety jest 1740 r. co jest zapewne błędem drukarskim. Kraszewski (Obrazy z życia i podróży, T. I. str. 117)) podaje kopję genealogji Karpińskiego, którą poeta miał własnoręcznie wpisać do ksiąg powiatu prużańskiego r. 1798 1/11 stycznia, a w której pisze o sobie: „Franciszek, syn Jędrzeja Karpińskiego ma lat 54.“ Wynikałoby ztąd, że Karpiński rodził się dopiero 1744 r. Zważywszy jednak że tak w pamiętnikach poety, jak u Korniłowicza, który go znał dobrze, stoi r. 1741 i że ta ostatnia data zupełnie zgadza się z innemi datami podanemi w pamiętnikach, nie można jej nie uznać za prawdziwą, ową zaś datę ksiąg prużańskich (jeżeli tylko ją dobrze wyczytano) należy sobie chyba tem tłumaczyć, że poeta dla jakichś powodów nie chciał wówczas podać prawdziwej liczby lat swoich.

**) Korniłowicz (O życiu Fr. Karpińskiego) nazywa tę wioskę dziedziczną Karpińskich, ale nie ma o tem najmniejszej wzmianki w pamiętnikach poety; i owszem ze wszystkiego, co ten pisze o interesach rodziny można wnioskować, że rodzice jego trzymali tę wioskę w dzierżawie. Popiera to fakt podany świeżo przez p. F. Próchnickiego (O życiu Fr. Karpińskiego, Lwów, 1876, str. 2), że w najdawniejszych aktach tabularnych Hołosków zaliczony jest do Ottyni, jako własność Potockich.

*) Przynajmniej w pamiętniku nie ma wzmianki o większej liczbie rodzeństwa. Obaj bracia Antoni i Kajetan byli starsi od Franciszka; Antoni był „dobrze starszy,“ Kajetan tylko o rok. Co się tyczy sióstr, to wiemy tylko, że jedna z nich, starsza, miała imię Marjanna i wyszła potem za mąż za Jankowskiego; ona to figuruje w słynnym „Powrocie z Warszawy.“ O drugiej siostrze nic prawie nie wiemy, nie znaną jest nawet z imienia.

*) Daty z czasów szkolnych, podane przez Karpińskiego w pamiętniku są bardzo niejasne i czasem sprzeczne z sobą. Pan F. Próchnicki w swojej pracy „O życiu Karpińskiego“ długim przypiskiem stara się udowodnić, że Karpiński wstąpił do szkół r. 1750 a nie 1749; atoli jeden z jego dowodów nie wytrzymuje krytyki i wywraca całą drabinę dowodzenia. Powiada p. Próchnicki: „Przedewszystkiem niemożliwą jest rzeczą, aby się retoryki uczył lat dwa, albowiem nauka retoryki trwała tylko rok jeden.“ Tymczasem to właśnie jest rzeczą nie tylko możliwą, ale prawie pewną, gdyż kurs nauk w retoryce był dwuletni dla uczniów, którzy z niej chcieli przejść do filozofji i wstąpić do zakonu (Łukaszewicz, Historja szkół I. 241), wiemy zaś, że Jezuici namawiali Franciszka, aby wstąpił do ich zakonu, i prawdopodobnie w tym celu zatrzymali go na drugi rok w retoryce.

*

POGADANKI.

XIII.

„Herkules na rozdrożu,“ jak nam go mitologia przedstawia, nie był w gruncie zbyt nieszczęśliwym. Najpierw, miał wybór między dwiema boginiami, z których jedna robiła go szczęśliwym a druga sławnym — powtóre zaś... był Herkulesem.

Nasza młodzież i starszyzna ma wybór między Pesztem a Zagrzebiem, między Carogrodem a Belgradem, między Petersburgiem a Warszawą. Powtóre zaś, nasza młodzież i starszyzna — nie jest Herkulesem.

Dla tego też Herkulesa świat starożytny uznał półbogiem, a naszą młodzież i starszyznę świat nowoczesny nazwie — dziwolągiem galicyjsko-słowiańskiem.

W świecie półbogów i bohaterów nie ma miejsca dla niewyraźnych postaci, dla nieokreślonych kierunków, dla sympatyj na lewo, a uśmiechów i uścisków dłoni na prawo.

W świecie nowoczesnym, nie ma czasu na transakcje między uczuciem a rozumem. Potrzeba decydować się natychmiast, potrzeba czuć i rozumować jednocześnie. Nasi młodzi i starzy panowie w Wiedniu i we Lwowie stwierdzili pisemnie, że czują a rozumują z osobna.

Nie potrafili „zdusić centaura“ dwuistotnego; daremnie sięgną po laury — chociażby tylko do Pragi, a nie do nieba.

* * *

W sporze familijnym, złe chyba dzieci nie stają po stronie ojca i matki. My znajdujemy się w takim sporze, a jednak matka nasza ma dzieci, które nie wiedzą, czy nie wypada im rzucić się w objęcia nieżyczliwych kuzynów.

* * *

Narzekacie na żydów, którzy nie wiedzą z kim trzymać — z germanizacją, czy z nami?

„Ich will mir nicht verderben mit Dem, ich will nicht verderben mit Jenem. Mein Grundsatz ist: Thue recht, und scheue Niemand.“

Są to słowa wyjęte z ewanielji znakomitego filozofa, dr. Landesbergera.

Nasz „Nie - Herkules na rozdrożu“ wybrał tę trzecią drogę, i dzisiaj w istocie nie potrzebuje bać się nikogo. Jest i gromnica dla Pana Boga, i świeczka dla djabła. Co bądź nastąpi, ogłosiliśmy się zerem, a zero wykreśla się z rachunku!

* * *

Dr. Żmurko twierdziłby prawdopodobnie, że zero obrócone na około swej osi utworzy jajo. Będzie to wszakże jajo nader abstrakcyjne i matematyczne, z którego nic się nie wylęgnie. Trudno łudzić się nadzieją, by jajo to mogło kiedy być mędrszem od kury.

Kura wiedziała przynajmniej, że należy mieć się na baczności nietylko przed jastrzębiami, ale przed całą ich drapieżną parentelą, przed najmniejszemi nawet krogulczykami.

Jajo zna nieprzyjaciół swojego gniazda, wylicza im z rejestru ich zbrodnie i winy — ale nie śmie oddać się wyraźnie w opiekę myśliwca, i wezwać błogosławieństwa Bożego na rusznicę, która ma wytępić ród krwiożerczy. Stanowczo, kura była mędrszą od jaja.

* * *

Ci którzy byli przed nami, wylali dużo krwi serdecznej w stronie, w której wschodzi słońce, i w której świta „węgierka“. Po śladach tej krwi stąpać nam należy, a nie po śladach bazgraniny filologicznej i etnograficznej.

Słodkiemi słowami nie ułagodzimy tych, od których nas rozdziela przepaść najżywotniejszych interesów. Pocóż kłamać im albo sobie, poco chorobliwym sentymentalizmem zaćmiewać jak mgłą, żywe, prawdziwe, potężne uczucie? Uczucie czci synowskiej i miłości dla rodzonej matki, uczucie nienawiści dla jej wrogów, i dla wszystkich, którzy się dotykają ich dłoni!

Po bitwie, odnosi się rannych nieprzyjaciół do lazaretu, pielęgnuje się ich jak swoich. Ale żołnierzowi, któryby powodowany najpiękniejszemi względami humanitarnemi, nie strzelał podczas walki bez uwagi na to, kogo trafi jego kula — takiemu żołnierzowi, sąd i hańba!

* * *

Jeżeli ci kto uprowadza twój wóz, a nie możesz nawrócić go w twoję stronę, to podłóż mu kamień pod koło, ażeby nie mógł ruszyć z miejsca, ale nie pomagaj mu, popychając wóz ku niemu, choćby jednym palcem. Nasz młody Nie-Herkules pomaga rozbójnikowi całą jedną dłonią, drugą zaś wznosi ku Niebu i świadczy się niem, że nas skrzywdzono. Skarga przeminie bez echa, ale brak zapory i życzliwe popchnięcie sprawią, że wóz odtoczy się daleko od nas. Późne pokolenia będą musiały naprawiać, co dzisiejsze złego sprawi w zwątpieniu i bezradności, i tylko odwieczne, niezmienne przeznaczenie nie da upaść sprawie tak nieroztropnie prowadzonej!

Halban.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ II.

Podole i okolice bezleśne.

Dla zachowania pewnego porządku, dając wskazówki co do dalszego rozwoju przemysłu małego na dolinach kraju, pójdziemy za biegiem słońca od wschodu na zachód, od Zaleszczyk ku bezleśnemu Podolu.

Jak już w pierwszej części nadmieniłem, chcąc przemysł domowy rozwinąć z korzyścią, winniśmy szukać materjałów surowych w każdej z danych miejscowości, a mianowicie, o ile się to da, dopatrywać pierwiastków samorodnego przemysłu.

Otóż na Podolu galicyjskiem winniśmy zwrócić uwagę na to, że podziśdzień ludność tamtejsza jako ściśle rolnicza i pozbawiona lasów, nie znająca prócz tego wnętrza swojej ziemi, może oddać się takiemu tylko przemysłowi, który z gospodarką ściśle jest złączony. I tu zaraz zrobimy spostrzeżenie, że umiejętny kierunek, zachęta i wskazówki w bardzo krótkiem czasie mogą wydać dobre owoce. We wschodniej części Galicji uwydatnia się wybitnie staranność i pewien artyzm, z jakim gospodynie po wsiach wyrabiają części ubrania, a mianowicie koszule, które nie mogą się obejść bez różnobarwnych wyszywań, naramienników, kołnierza i rękawów. Chociaż zwyczaj ten przyjęty jest od wieków w znacznej części kraju, jednakowoż na bezleśnych obszarach Podola wyroby te są najwięcej udoskonalone, najwydatniejsze i przodują co do barw jak nie mniej co do wykończenia wszystkim innym. Tak samo wzbudzają ciekawość wełniane kilimki, kobierczyki, koce i tkaniny, których kobiety wiejskie używają na spodnice i fartuchy. Robiąc porównanie na wielkim jarmarku w Ułaszkowcach, przekonałem się że i płóciennictwo domowe wiejskie na Podolu jest wykonywane z większą starannością, niżeli w innych stronach Galicji.

Zważywszy dane, w pewnych miejscowościach, ale głównie po wsiach najludniejszych, gdzie już wyroby wyżej wspomniane stanowią artykuł zbytu na pobliskich targach i jarmarkach — przez zaprowadzenie ulepszonych warstatów tkackich, kołowrotów do przędzenia, przez obznajomienie z ulepszonem barwieniem przędziwa lnianego, konopnego i wełnianego, przez dostarczanie wzorów tkanin, w końcu przez zaprowadzenie kilku wzorowych blichów i apretur, w krótkim czasie wyroby te Podola nie tylkoby zaopatrywały kraj i chociaż w małej części stawiły czoło przywozowi zagranicznemu, lecz bardzo prawdopodobnie mogłyby się także stać towarem wywozowym.

Mówiąc już o tkaninach i przędzalniach zwracamy uwagę, że w dawniejszych czasach, nawet ku końcowi zeszłego i w początku naszego wieku, w okolicach Zaleszczyk ku Pokuciowi aż pod Buczacz nie tylko tkactwo, ale i jedwabnictwo było na większą stopę skutecznie prowadzone.

Przed kilku laty widzieliśmy u pani hr. Klementyny z Potockich Miączyńskiej w Podpieczarach na Pokuciu prześliczne adamaszki z jedwabiu domowego, który jak podziśdzień zapiski z tych czasów w ręku pani Mięczyńskiej w Podpieczarach przekunują, posyłano w znacznej ilości jako jedwab surowy do Lyonu, gdzie był przerabiany na materję. Przemysł ten wykwitał z skrzętności i szlachetnego poczucia naszych matek, naszych prababek.

Była jeszcze druga gałęż przemysłu, która nie tylko kraj, ale Europę i Azję zasilała, a tem była hodowla owadu zwanego "Czerwiec polski", który służył jako barwnik materyj szkarłatnych i stanawił nader ważną rubryką w dochodach.*)

Ponieważ przędze konopne, lniane i wełniane stanowią u nas arterję, która po całym kraju nie tylko że jest nader wybitnie rozgałęziona, lecz tworzy w wielu miejscowościach ogniska, w których dawniej kwitła zamożność, a dopiero w ostatnich czasach przez karygodne nieuwzględnienie przemysł ten upadł lub zaledwie byt swój jeszcze zaznacza, więc pójdziemy za nim dalej. Mylnem jest zdanie, że przyczyną upadku tkactwa domowego w Galicji stała się niemożności utrzymania konkurencji w obec wielkich fabryk ościennych krajów. Twierdzenie to jest nieuzasadnione, bo główną przyczynę znajdziemy w niefortunnem opodatkowaniu wyrobów, które oddziałało jak strychnina na ten przemysł krajowy, przezco oddano produkta surowe, jak wełnę len i konopie, w monopol spekulantów zagranicznych.

Nic nie zaniedbano, aby tak znaczną ilość

---

*) Dzisiaj jednak przy znacznym postępie chemji Czerwiec polski jako produkt wywozowy, nie znalazłby już odbytu.

kolonij tkackich doprowadzić do upadku; to też takie miejscowości jak Kołomyja, Kuty, Kossów, Obertyn, Zabłotów, Kołaczkowice, Horendenka, Czernelica, Chocimierz, Buczacz, Barycz, Bohorodczany, Potok, Ottynia, Monasterzyska, Wojniłów, Rożniatów, Mikołajów, Żydaczów, Sokal, Niemirów, Krystyanopol, Mościska, Sądowa Wisznia, Jaworów, Jarosław, Niżankowice, Krasiczyn, Komarno, Kolbajowice, Sambor, Drohobycz, Staremiasto, Turka, Bircza, Dobromil, Chyrów, Dynów, Jasienica, Tyrawa, Rybotycze, Haczów, Kombornia, Korczyna, Dębowiec, — które razem 6165 warstatów tkackich zatrudniały jeszcze w r. 1869 i zaopatrywały w znacznej części nietylko potrzeby armji, ale i poza granicę kraju wysyłały tkaniny lniane i konopne, musiały uledz pod wymierzonym na nie ciosem i pożegnać się z dawną świetnością.

Przy racjonalnem poparciu, jeżeli Sejm, zbadawszy główne przyczyny zaprzepaszczenia tego ważnego artykułu handlowego, otoczy producentów małych pewną opieką, w kilku latach tkactwo galicyjskie nie ulęknie się konkurencji fabryk zagranicznych, lecz tak samo jak w innych gałęziach produkt surowy na miejscu przerobiony znajdzie korzystne drogi do wywozu. Badając niedawno temu niektóre miejscowości jak np. Korczynę, Dębowiec, przekonałem się, że takiej jak tam chęci do pracy i zarobku, pomimo najtrudniejszych warunków, gdybyśmy całą Europę zeszli z pewnością nie znajdziemy. Dosyć powiedzieć, że rodzina składająca się z dwóch do czterech członków umiejacych tkactwo, pracując na przemian przy jednym warstacie dzień i noc bez przerwy, zarabia tygodniowo zaledwie od dwóch do trzech złotych reńskich; a powód tego o jest ten, że bez opieki i wskazówek miejscowości te stały się jakby koloniami białych murzynów, na których nieuczciwa żydowska spekulacja robi kolosalne majątki. Przy jakiejkolwiek systematycznej opiece, warstaty ręczne tkackie dla przerobu lnu i konopi, jako to płócien, płócienek a szczególniej stołowej bielizny i ręczników, nie mniej wełny nasukna, koce i kobierce, mogą bez wielkich trudów dojść do liczby 20 i 30 tysięcy.

(C. d. n.)

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

(Ciąg dalszy.)

Nina z tym samym wyrazem uwielbienia patrzała za odchodzącym. Mimo woli nasunęła się jej myśl: Cóż to za różnica z Jakóbem! Mila we wszystkie teorjach swoich o małżeństwach kojarzonych nie z miłości lecz ze względów światowych, zapomniała o tej prawdzie, że kobieta trafiająca na męża prawdziwie duchowo wyższego, którego ta wyższość duchowa prowadzi do szlachetnego i pod każdym względem zacnego postępowania, jest również bezpiecznie osłonięta od mogących spotkać ją pokus, jak ta, która już przewalczyła i przebolała. Czyż jest człowiek któryby wytrzymał porównanie z moim Konstantym?

Mając takiego mąża jak ona biedaczka, to trzeba mieć przytem jakąś inną jeszcze tarczę. Zamyśliła się głęboko a z tych myśli jaśniejsza wypłynęła: Najwłaściwszą tarczą, każdej kobiety, powinien być Bóg! A jednak wszystkie wierzą w Boga, a ileż to prowadzi się w niepozwolony przez Niego sposób! Mila mówiła mi że jej puklerzem przeciw pokusom tego rodzaju, jest wspomnienie i pamięć kochanego niegdyś człowieka — moim będzie, do ideału pedniesiona szlachetność i zacność męża mego! Dumną jestem z niego i tej dumy, nie oddałabym za żadne uczucie! Uczucie? przecież ja go doznać nie mogę, wszakże jestem wyjątkiem z reguły. A potem już trochę za późno na nie, 29 lat skończyłam. Roześmiała się sama z siebie, zapytując zkąd jej takie myśli napłynęły? Przecież nie sprowadziło ich zapowiedziane przybycie pana Juliusza? Ot dobrze że przybędzie ktoś rozerwać jednostajność wiejskiego życia. Boi się kobiet, a więc dziki, to i owszem, będę go oswajać. To może być bardzo miłą zabawką. Razem z tą myślą Nina wstała, i postąpiła do zwierciadła. Stanęła, poprawiła włosów odsuwając je trochę od skroni, przytwierdziła lepiej negliżyk na głowie i wprawnem okiem zlustrowała postać swoją i strój cały, wygięła głowę przez ramię, o ile się tylko dało, obejrzała się z boku, i nucąc jakąś wesołą piosenkę przystąpiła do okna. Sparła się na aksamitnej pąsowej poduszce, i snuła dalej rozpoczęte pasmo myśli, w której nieustannie plątał się spodziewany przyjazd Juliusza. Uśmiech igrał jej na ustach, widocznie poważniejsza strona, poruszona przed chwilą, uleciała już gdzieś daleko, teraz zajmowała się cała spodziewaną rozrywką z przybycia gościa.

— Ach Milo! Milo! jak ona będzie się niepokoić, jak mnie będzie moralizować! Pamiętam w przeszłym roku jak ją niepokoił ten piękny Staś, za którym ginęły wszystkie kobiety i panny a on ginął za mną. Co to ona naprzewidywała niebezpieczeństw, co się natrapiła, jak mi przedstawiała, że kiedy już odważam się narażać siebie na niebezpieczeństwo, to nie powinnam narażać męża, bo gdyby doszło go jakie gadanie ludzkie, wywołane widocznem nadskakiwaniem Stasia, musiałby się ująć, a gdyby sam spostrzegł, mógłby ostygnąć dla mnie w miłości. I cóż się stało, wszystkie strachy były próżne, mąż mój tak samo ślepy i głuchy jak wszyscy mężowie, co jest tylko zaletą jego, jak również oznaką głębokiej ufności we mnie, której z pewnością nie zawiodę nigdy! Dobry, poczciwy mój Konstanty, czy mógłby on przestać mnie kochać? A! nigdy nigdy! Tak jestem pewna jego miłości, jak znowu pewna jestem, ze takie Stasie i Jasie nie mogą być dla mnie żadną miarą niebezpiecznemi stworzeniami. Jeszcze śmiać się muszę, gdy przypomnę sobie minę mego pana Stasia przy kotylionie w ostatni wtorek u pani Z. gdy ściskając niby nieśmiało moją rękę, (a pierwej ściskał już pewnie z pięćdziesiąt rąk takich) sentymentalnie prosił o pozwolenie odwidzania nas choć czasem, na chwilkę jedną, gdyż pozbawiony widoku mego, stałby się nieszczęśliwym! Jam mu się roześmiała w oczy, on się już zmięszał, ale dopiero zrobił pocieszną minę, gdym mu powiedziała, że karnawał uważam za komedję, w której występują wszyscy w przybranych rolach, a która kończy się razem z ostatnim wtorkiem. Od środy powraca każdy do normalnego swego stanu, do zwykłych zajęć, a więc ja do stanu statecznej kobiety, i do zajęć moich domowych, a on zapewne do zbijania bruku, i łowienia najznaczniejszego o ile się uda posagu. Komedja którą przez parę tygodni odgrywaliśmy ze wspólnem naszem zadowoleniem kończy się dziś! Zaczerwienił się po białka oczu, ale z pewnością nie z miłości. Dobra moja Mila, i tego końca nie pochwaliła, ona by była nie wytrzymała, tylko przy rozstaniu przynajmniej wyrecytowała by mu jakiś morał.

Serce jej szlachetne i zacne, ale dziwnie jakoś zapatruje się na ludzi i życie, o wszystkiem wyobrażenia jej są skrajne. Już gdy miłość, to taka jak Romea i Julii, gdy wynikłe ztąd niebezpieczeństwa, to pojedynek, krew, mord, środka nie pojmuje. A przecież ogół ludzi nie daje się podciągać jak co najwięcej do pośredniej miary. Ja przynajmniej w całem życiu mojem, prócz mego Konstantego, nie spotkałam człowieka, którego bym nie mogła zmierzyć tą zwykłą ludzką pośrednią miarą. Dość już żyję długo, a nikt mi jeszcze nie zaimponował wyższością moralną.

Zaczęła znowu nucić świeżym i pięknym głosem wesołą spiewkę.

Po chwili wjechał na dziedziniec wóz prosty zaprzężony parą nędznych koni; Nina mająca dość krótki wzrok, z ciekawością przypatrywała się, czem może być obciążony, gdyż dostrzegła na nim jakieś paki i narzędzie jej nie znane. W końcu zwróciła uwagę, że obok wieśniaka siedzącego na okłocie słomy, jest jeszcze jakieś indywiduum surdutowe, a więc zapewne właściciel tych rupieci. Ale co to wszystko ma znaczyć? Przyszło jej na myśl, że zapewne przyjęty świeżo pisarz jaki lub dyspozytor, zjeżdża razem z nędznym swoim dobytkiem, ale jakżeż się zdziwiła, gdy wóz nie zatrzymując się przy oficynach, jechał prosto pod wystawę ganku. I chociaż u pana Konstantego nie było tego zwyczaju, jaki panuje u państwa S. na Podolu rossyjskiem, iż na dziedziniec pałacowy wolno zajeżdżać tylko powozom, zaprzężonym dobraną czwórką, a wszelkie parokonne dryndulki, bryczki i wózki stawać muszą za bramą, a właściciele ich piechotą dostawać się do Jasnych państwa, nie mniej przeto Nina zdziwiła się tej chłopskiej furze jadącej wprost przed jej ganek. Spiewka ucichła, i z natężeniem przypatrywała się wlokącemu się powoli wozowi. Zatrzymał się nareście przed gankiem. Siedzący jegomość przy furmanie, zeskoczył na schód kamienny, wyjął portmonetkę z kieszeni, a wydostając z niej pieniądze, i płacąc widocznie najętego człeka, powiedział mu uprzejmie:

— Uważaj że mój kochany, gdy będziesz ze służącym tutejszym zdejmować te paki abyście czego nie uszkodzili, stawiajcie ostrożnie. Odwrócił się i zaczął wchodzić na schody. Nina z ciekawością śledziła go. Okryty był szerokim białym płaszczem, ochraniającym od prochu, i przysłonięty kapeluszem o bardzo dużych kresach. Żadnego wniosku postawić nie mogła, kto by to był. Za chwilę zagadka rozwinęła się. Konstanty wybiegł na ganek z roztwartemi rękami wołając:

— A Julek mój drogi! Cóż to za miła niespodzianka!

— Jakto? toś listu mego nie odebrał?

— Odebrałem, ale przed chwilą dopiero.

— Nie wiem dlaczego, gdyż jeszcze przed sześciu dniami pisałem.

— Ale dlaczegoż teraz nie telegrafowałeś o konie na kolej?

— A na cóż tyle kłopotu, gdy doskonale przyjechałem Iwaśkiem czy Hryńkiem.

— A więc poszlę zaraz po rzeczy twoje.

— I tego nie potrzeba, wszystko przyje-

chało wraz ze mną, i rzeczy i wszelkie narzędzia.

— Musiałeś bardzo niewygodnie jechać?

— I owszem doskonale.

Rozmawiając tak weszli do pokoju Konstantego.

Nina odstąpiła od okna.

— A więc to jest ów pan Juljusz! Nie szczególna jakaś figura, głos ma tylko przyjemny. Przeszła się parę razy po pokoju, i stanęła znowu przed zwierciadłem, badając czy dość jest elegancko ubrana, by módz się pokazać obcemu człowiekowi. Przegląd był zadowalający. Zadzwoniła na służącego, kazała podać jeszcze jedno nakrycie i oczekiwała. Oczekiwanie przeciągnęło się, wzięła jednę z książek świeżo nadeszłych i poczęła przeglądać. Po chwili rzuciła ją niecierpliwie o stół. Pan inżynier nie zalicza się bynajmniej do najgrzeczniejszych ludzi...

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Barthelemy: La Princesse de Conti d'aprés sa correspondence. Paris — 1876.

Księżna Conti, której życiorys mamy przed sobą, była matką Franciszka ludwika Conti, obranego królem Polskim po śmierci Jana Sobieskiego. Jedna to z najzacniejszych postaci niewieścich XVII wieku. — Pani de Sevigné w listach swoich wysławia jej niepospolitą urodę, a bardziej jeszcze anielską dobroć i niezłomny charakter. Książę Conti, lubo nie miał korony i nie piastował berła polskiego, należy poniekąd do nas, skoro naród zaszczycił go wyborem. Wiadome u nas szczegóły wyboru księcia Conti. Z pięciu kandydatów pozostał mu tylko w elektorze saskim jedyny, lecz groźny współzawodnik. Obiór odbył się w czerwcu 1697 r. — część narodu wykrzyknęła imię Augusta, druga imię Conti'ego. Prymas Radziejowski przychylny Francji, kandydata jej ogłosił już królem w Warszawie. Ludwik XIV, z którym Conti był spokrewniony, wzywa księcia do gabinetu swego, a po kilku zamienionych z nim słowach, wprowadza go do sali: Panowie! — rzecze do dworzan — powitajcie króla polskiego. — Niewczesna jednak miłość księżnej Bourbon sprowadziła księcia z drogi surowych obowiązków, odebrała hart jego duszy, a Polskę pozbawiła króla, który miał dosyć siły i genjuszu, aby przekonać naród o potrzebie reform.

— Vertu, p. M. Gustave Haller, 1 vol in 8go; Calmann Lévy. Paris. — 1876.

P. Gustaw Haller chce nas przekonać, że autor sielanki równie wyczerpująco może się rzucić na pole dramatycznych romansów, awantur gwałtownych i pełnych namiętności. Możnaby to przypuścić gdyby autor przedstawił prawdopodobniejsze fakta a nie podług swego widzi mi się opisywał angielskie obyczaje. Dwa tylko typy są tam sympatyczne. Bohaterem jest przewodnik ludzkości, utopista, który chce świat odrodzić tylko przez cnotę. Jestto bardzo piękny pomysł jednak trzeba przyznać, że książka pana Hallera nie wiele się przyczyni do przyspieszenia chwili panowania cnoty.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

(Renesans mody.)

Brzeżany d. 18 Listopada 1876.

Nie ma i nie było większego despotyzmu nad ten, z jakim swych niewolników różaną rączką, acz żelaznemi okowy okrępowała — moda! Kapryśna ta bogini, stara, jak historja ludzkości, nieprzebraną jest w pomysłach, a idąc ręka w rękę z cywilizacyjnym pochodem wyobrażeń, potrzeb i wymagań, dzisiaj w wieku wynalazków krocie maszyn ma na swoje rozkazy, ażeby tylko coraz to ponętniejsze stwarzać kombinacje barw, materyj, deseni, draperyj, kokard i falbanek.

Snać powabna tyranka umie rozbroić surowość ludzkich sądów i ustanowień, jeżeli jedni tylko Spartanie zdołali na chwilę wybić się z pod jej jarzma, podczas gdy zresztą wszystkie ludy nietylko nieporadnie patrzyły na coraz zwiększające się zbytki, ale od starych Indjan począwszy, usprawiedliwiały je nawet sentencjami: „Bóg uczynił kobietę rozmiłowaną w swoich strojach“ — „gdy nie jest strojnie ubraną, nie budzi radości w sercu męża“ itp. U elegantek rzymskich każdy szczegół toaletowy stanowił specjalność jednej z niewolnic, a pod koniec rzeczypospolitej przepych nie miał już żadnych granic. Nasze znowu kroniki z XV, XVI i XVII wieku przepełnione są skargami na szalone zbytki kobiet, a jeżeli dzisiaj dział kosmetyczny niezawodnie spadł do znaczenia podrzędniejszego, niż jakie miał u Rzymianek, lub w naszym kraju za czasów Łukasza Górnickiego, za to nigdy twórcza fantazja mody nie była tak rozmaitą, zmienną i odmienną, jak to obecnie w zalewających świat magazynach konfekcyj damskich widzieć możemy.

Ale dotąd niewiadomo ci Czytelniku, kto jestem i jak się na modę zapatruję, czyli mówiąc tegocześnie nie znasz jeszcze mego „wyznania wiary“ modnianej, więc sam nie wiesz, czy i jak masz przyjąć moje uwagi. Jestem mężczyzną, co mnie w oczach Czytelniczek potępia, bo nic dziwnego, że mężczyzna, a może i mąż, przeciw modzie powstaje, by to, co na strój żony ma wydać, puścił w karty w kasynie.

Otóż uspokój się, podejrzliwa Czytelniczko, mam żonę, ale w karty nigdy nie gram, do kasyna nie chodzę i lubię, a nawet wymagam, ażeby moja żona ubrana była z elegancją. Więc nie ma obawy, ażebym powiedział za Plutarchem: „Nie możesz mieć pereł, ale możesz mieć darmo ozdoby tych kobiet, które stały się głośne z swoich c n ó t.“ A pięknego tego zdania nie powiem dla tego, bo mi chodzi nie o wygłoszenie pięknych frazesów, lecz o praktyczną uwagę. Cnota niezaprzeczenie bardzo ładnie ubiera, ale jeżeli oprócz niej nie ma czy to p r i n c e s s y, czy innej r o b y, to nie znam salonu, któryby w takie cnoty był bogaty.

Przeciw modzie od dawna wiele mówiono i pisano, ale nikt nie wstrzymał jej szalonego pędu właśnie dla tego, iż brano się do niej skrajnie i bezwzględnie. A jednak nie ma na świecie siły, którąby mierzyć można z siłą mody: słupy graniczne jej nie wstrzymają, nienawiść rodowa nawet jej się nie oprze... Nie ma i nie będzie spólnego języka, pracują nad międzynarodowem pismem znakowem, jedna tylko moda bez wysileń mija morza i góry, a model paryski ma kopistów w Berlinie, Petersburgu, w Jedo równie, jak w Sydney. Z takim przeciwnikiem trzeba się liczyć, a radykał, który walcząc przeciw modzie, staje na bezwzględnem, przeczącem stanowisku, podobny jest do strusia, który nie chcąc widzieć niebezpieczeństwa, chowa głowę pod skrzydła.

Dla tego też z zupełnie odmiennych zasad wychodzi myśl, którą w rozmowie z dwiema młodemi, myślącemi kobietami na prowincji zaproponowałem, a którą tutaj w krótkości wyłożę.

Że w ogóle reforma mody dziś więcej jest pożądaną niż kiedy, to uczuwają w tej chwili krocie żon i matek, miljony ojców i mężów. Najwięcej może jest kobiet, które chcąc połączyć piękne z użytecznem, nic nie robią innego, tylko ciągle przykrawują tuniki, to zwężają, to skracają, aby się przecież mniej więcej na poziomie mody utrzymać, a jednak nie wiele wydać. Ile to czasu kradnie moda w ten sposób wypełnianiu powinności względem siebie, bliźnich, a może i dzieci!

Dalej, jak to jest przykre i poniżające, ażeby kobieta dla braku nowej lub „odpowiedniej“ sukni, musiała sobie odmówić wizyty, zabawy, lub wycieczki; ale gdyby nawet na szczęście ludzkości mniej było kobiet tak wymyślnych, jak bohaterka p. Prażmowskiej, która mając kilkanaście sukien, mówi: „Nie mam co włożyć na siebie“ — to zawsze jeszcze są „okazje,“ które najwyrozumialsza nawet kobieta niewłaściwą toaletą brawować nie zechce i nie może, jak wesela itp. Są wszakże niestety kobiety, które nie umieją zostać w domu, gdy nie mają sukni, to jest nie w tem znaczeniu, iżby licząc na przysłowie: „Nie suknia zdobi człowieka,“ znaną już toaletę podniosły swobodną myślą a czystem sumieniem, ale że zwłaszcza w stolicach kupioną suknią ubierają częstokroć — sprzedane ciało! Jak tamto godzi w sam zaród towarzyskości i prowadzi za sobą rozchwianie wszelkiego życia towarzyskiego, tak ten drugi wypadek zabija szczęście domowe, rozprzęga i burzy obyczaje i moralność. Spojrzyjmy na mężów. Jeżeli nie zdołają oprzeć się wymaganiom żon, zaczynają od długów i stopniowo upadając, po schodach nadużyć, przekupstw i sprzeniewierzeń idą do więzienia, jeżeli nie kończą rewolwerem niemożebnego żywota. Że to nie przesada, świadczą przerażające kroniki rozpraw karnych i statystyka samobójstw.

Odnosi się to oczywiście do tych warstw społecznych, dla których moda jest nieudźwignionym ciężarem finansowym, lubo i w kołach dostatnich są kobiety, które zmieniają suknię nie z przyjemności, lecz z przymusu i chętnie kosztem licznych szat wzbogaciłyby roczny budżet literatury, sztuk pięknych, lub umysłowych rozrywek. Bo dziwną zaiste jest niekonsekwencja, z jaką poważnie na świat patrzące kobiety tyle wagi do stroju przywiązywać muszą, i trudno sobie wyobrazić, jak kobiety przez próg rozumnego wyzwolenia, u którego dziś niezawodnie stoimy, przeniosą kontrabandę trenów, wolantów i frez z całym aparatem turniur i szenionów.

Więc trzeba się otrząść, otrząść nietylko z kameleonowej zmienności mody, ale także z przymusu ubierania się jak inne. Jak tego dokonać? Platon nazywał czystość w stroju północną — to bardzo piękne, ale na dzisiejsze czasy za mało; powołane przed chwilą przysłowie „nie suknia zdobi...“ dobre na komunał dla zdala stojącego ideologa; rada p. Prażmowskiej: „w lecie biała suknia muślinowa, w zimie czarna aksamitna,“ same panie to wiedzą, jest niepraktyczna, bo ani możebna, ani łatwo dościgniona: nie żądamy oczywiście także, by kobiety, idąc za najświeższym czysto-amerykańskim pomysłem Amerykanek, ubierały się po męsku.

Ale jest *juste-milieu*, jest środek między ekstremami. Nie jesteśmy kwakierkami, mówi pani Orzeszko, możemy więc przed źwierciadłem przypiąć kwiat do włosów, lub koronkę do sukni. My dodamy, zaznaczając oraz nasze stanowisko, że „nie żądamy, by kobiety zaniedbywały się w stroju, przeciwnie toalety niechaj będą gustowne, eleganckie i piękne,“ ale prawdziwie piękne, to jest, jak powiedział Brodziński, by się nietylko zmysłom, ale i rozumowi podobały. *Rien n'est beau que le vrai* i dla tego krój sukien niechaj jak najmniej odchodzi od form rzeczywistych, a wtedy w jakiejkolwiek konstelacji zmieniających się wyobrażeń zadowoli on zawsze wymagania estetyczne. „Bo stałość, czyli niezmienianie się krojów, to jest właśnie żywioł, o którego wprowadzenie na pierwszem miejscu nam chodzi.“

Nie chcemy wszakże być apostołami dziwactwa, bo podług naszych, utylitarnych pojęć, dziwactwem byłoby, gdyby te dwie panie, z którémi rozmawiałem i jeszcze może kilka adeptek, zastanowiły dla siebie modę i np. dzisiejsze polonezki z archeologiczną czcią przeniosły niezmienione aż w środek XX stulecia. Dziwactwem byłoby to nie dla tego, iżbyśmy klasyczności kroju lub jego długiemu trwaniu przyganiać chcieli, ale dla tego, że suknie te nosiłyby tylko owe dwie panie i kilka adeptek. My nie pragniemy wyróżniania się w y j ą t k ó w, bo stanęlibyśmy na tej samej trybunie, z której nasi poprzednicy bez skutku kazali. Najmocniej przekonana i dla naszych zapatrywań ujęta kobieta nie uczyni wyłomu w przykazaniach mody, jak długo jeszcze za to grozić jej będzie klątwa śmieszności lub dziwactwa.

Więc uchylić tę klątwę, to jest wszystko, co kobietom dobrej woli potrzeba. A jak to zrobić? „Oto przez zastąpienie liczbą odwagi, jaka pojedynczym brakuje.“ Dwie panie w jednem mieście, lub w jednej okolicy, oczywiście bywające w świecie, muszą, przyznajemy to chętnie, mieć wiele odwagi i zaparcia się, by iść wbrew modzie, to też tego od nich nie wymagamy. Ale jeżeli matka prowadząc córki na bal, ubiera je z tem przekonaniem, że tak, jak one, ubraną będzie choćby połowa kobiet, to wchodzi ona śmiało na salę balową, zwłaszcza, że wyróżniając się w ten sposób od innych, manifestuje, iż stanęła pod sztandarem postępu i poważnego pojmowania kobiety.

Idzie za tem, że „reformy naszej nie chcemy wcale ograniczać na nasz kraj,“ bo najprzód w ogóle byłby to krok wstecz, a potem dla kobiet wyjeżdża-

jących za granicę, prowincjonalna odrębność naszego stroju byłaby przeszkodą do przyjęcia go; przeciwnie po „całym świecie należy szukać zwolenniczek i zwolenników,“ pracować słowem i pismem nad rozszerzeniem ich koła i nad pokonaniem przeciwników. Bo tych, nie taimy tego sobie, z rozwojem naszej myśli, będzie bardzo wiele, a grupować się w obozie ich będą: fabrykanci materji, właściciele magazynów strojów damskich i wszyscy ci, którzy podsycając żarłoczność mody, coraz nowemi pomysłami wzbogacają olśniewającą rozmaitość toalet i — własne kieszenie. Wszakże niechaj upada, co nie ma racji bytu i niech ustanie anomalja, z jaką fabrykanci robią fortuny na ruinach swoich odbiorców!

W toku tej pracy potrzebne jest porozumiewanie się za pomocą czasopism, opracowanie szczegółów podanej tu myśli, a jako owoc tego porozumienia się ma wyjść przepisanie stałego kroju sukień damskich i oznaczenie czasu ich wdziania. Jaki w szczególności krój przyjęty zostanie, temu nie chcę przesądzać, wszelako powinien on do dzisiejszego, ozdobami przeładowanego, mieć się tak, jak do stylu gotyckiego miał się klasyczny renesans, gdy się przeradzał w estetyczne barbarzyństwo.

Podczas tej agitacyjnej pracy, toalety „renesantek“ nie potrzebują ulegać żadnym zmianom, chyba tej, ażeby w ogóle przy sprawianiu nowej sukni, z pośród tych, jakie żurnale mody przynoszą, wybrać najmniej chwilowe i najmniej przejściowego charakteru i w ten sposób, nie rażąc przed czasem, zbliżyć się ile możności do wzorów, jakie z łona renesantek wyjść mają. Dopiero po roku, czy dwóch latach usilnych agitacyj, na dane hasło, wszystkie należące do związku kobiety, przywdziewają suknie według wzorów związku i odtąd puszczają modę naprzód, a same zostają w miejscu. Na wieki stać nie mogą, bo wszystko postępuje, ale niechaj by tylko pewien smak poważny usunął swawolne wybryki fantazji i niechajby zmiana kroju dla kobiet postępowała tak wolno jak zmiana mody męskiej, to odniesionoby już znakomite skutki. Mężczyzna ubrany przez dobrego krawca, *caeteris paribus* jest tak ubrany, jak lepiej żaden być nie może; dla czego nie dałoby się coś podobnego zastosować u kobiet?

Wiem jak niedokładną jest rzucona przezemnie myśl, nie taję sobie, że wiele braków, wątpliwości i nieprzewidzianych tutaj zarzutów podniesie się przy dalszem przeprowadzeniu zamierzonej reformy — ja też ją podaję jako pierwszy niekształtny jeszcze zarys, ale jestem pewny, że jeżeli zwróci na siebie uwagę naszych światłych kobiet i zdoła sobie także u mężczyzn zjednać poparcie wymowniejszych piór od mojego, to z odrodzeniem praw kobiety, nastąpi i odrodzenie mody, byle tylko kobieta usłuchała wołania najgorliwszego obrońcy swego p. Prądzyńskiego: „Otrząś się z walającego cię pyłu płochości i swawolnej żądz igraszki.“ *Le. Ma.*

Literatura, nauka i sztuka.

— Lwowskie towarzystwo muzyczne „Harmonja“ do którego pozyskano na dyrektora artystycznego, zaszczytnie znanego muzyka i kompozytora Ludwika Marka, rozwinęło pod tegoż kierownictwem wszechstronne działanie. Z dniem 1 listopada b. r. otworzono szkołę muzyczną w której 60 uczniów od najzdolniejszych profesorów w naszem mieście naukę na wszystkich instrumentach dętych i rżniętych pobierają. Z wiosną otworzoną zostanie kapela miejska z tychże uczniów. Dobrodziejstwo wyświadczone młodzieży, którą Towarzystwo bezpłatnie w muzyce kształci, a przy otwarciu kapeli da sposób zarobkowania, jest widocznem i przeto śmiało zachęcać możemy jak najszersze koła do przystępywania na członków. W tem celu znajdują się listy Tow. w księgarniach pp. Wilda i Gubrynowicza. Członek płaci 2 zł. tytułem wpisowego i 1 zł. kwartalnie, za co uzyskuje prawo uczęszczania na koncerta i produkcje towarzystwa za pół ceny, przyczem popiera szlachetnie i pożyteczne cele Towarzystwa. W obecnym sezonie daje Towarzystwo w sali ratuszowej sześć wieczorków muzykalnych pod kierownictwem dyrektora L. Marka, które do najprzyjemniejszych zaliczyć będzie można, gdyż najlepssze siły muzyczne współudział wziąć przyrzekły. Abonament przyjmują księgarnie pp. Wilda i Gubrynowicza. Fotel na 6 wieczorków kosztuje 3 złr. 50 cent. Krzesło 3 złr. Wstęp 2 złr. 50 cent. Wiele miejsc wzięto już w abonamencie.

— Pan Antoni Prohaska, znany ze swoich prac historycznych czytelnikom „Tygodnia“ bada obecnie w bibljotece królewieckiej dokumenty dotyczące znakomitej dziejowej postaci Witołda i zamierza z początkiem przyszłego roku wydać monografię historyczną p. t. „Bitwa Jagiełły z Krzyżakami pod Grünwaldem“.

— W świecie naukowym, a szczególnie geograficznym, spotykamy coraz częściej wspominane imiona polskie. Niedawno na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego w Paryżu, jeden z członków p. Brau de Saint Pol oznajmił, że hr. Tyszkiewicz, który zwidził już wiele obcych krajów, postanowił odbyć podróż w około świata. W tym celu buduje w Hawrze wielki jacht żaglowy, ciężaru 320 beczek. Służba okrętowa składać się ma z 37 ludzi. „Słuszna chwała należy temu — dodał p. Brau — kto chce i umie obrócić na korzyść nauki zasoby, jakie daje majątek i niezależne stanowisko.“ W innem znów sprawozdaniu geograficznem czytamy wiadomość, wprawdzie nie nową, powtarzamy ją przecież jako chlubne świadectwo cudzoziemców i jako dowód, że francuscy uczeni oceniają prace nasze podjęte na każdem polu wiedzy. „Dwaj uczeni Polacy — pisze sprawozdawca Ryszard Curtembert — prof. Dybowski i Godlewski, którzy przez 11 lat podróżowali po Syberji w celu naukowym, powrócili do Europy. Przywieźli ze sobą liczne minerały i przedmioty etnograficzne, któremi wzbogacili hojnie warszawskie muzeum. Zawdzięczamy p. Dybowskiemu i Godlewskiemu dokładne zgruntowanie jeziora Bajkuł. Za pomocą zapuszczonych sond dowiedli oni, że głębokość tego jeziora dochodzi miejscami 1.400 m. to jest o 100 metrów więcej nad dawne obliczenia.“

— Następujące dzieła wyszły świeżo nakładem księgarni Gebetnera i Wolffa: Niezmordowanego Kraszewskiego: „Ostatnie chwile księcia wojewody,“ wydanie drugie; „Żywot i sprawy imć pana Medarda z Gołczwi Pełki“ i powieść w trzech tomach „Niebieskie Migdały,“ oraz Berlicza Sasa pamiętnik w dwu tomach pt. „Dwie babki“ (pani Kasztelanowa Trocka i pani Starościna Horodelska.)

— Pan Kazimierz Łuniewski napisał dramat w trzech aktach pt. „Do wyższych celów.“

— Dzieło pp. Żelińskiego i Roguskiego pt. „Nauka harmonji i pierwszych zasad kompozycji“ już się rozpoczęło drukować i prawdopodobnie za dwa miesiące ukaże się na widok publiczny.

— Druk zapowiedzianego obrazku zaściankowego Adama Pługa pn. „Sroczka“ już się rozpoczął w zakładzie typograficznym Ziemkiewicza, a ilustracje podług rysunków W. Gersona w drukarni Jana Noskowskiego. Utwór ten w przepysznem wydaniu ukaże się w pierwszej połowie grudnia br.

— Pismo ilustrowane czeskie „Swietozor“ drukuje obecnie szereg wyjątków z przekładu poezyj Seweryna Goszczyńskiego, dokonanego przez Jana Soukoup'a.

— Dr. B. W. Richardsohn w ostatnich czasach skonstatował ciekawy fakt, wykazujący, że pory roku mają znakomity wpływ fizyczny na ciało. Kilka lat temu w zakładzie zamkniętym w Anglji, poddano badaniom pewną liczbę osób w jednakowych zostających warunkach życiowych, tj. pod względem odzienia, mieszkania, pożywienia, itd. Naczelny lekarz więzienia przedsięwziął obserwacje, które trwały około dziesięciu lat. W ciągu tego czasu poddanych było badaniu 4.000 indywiduów. Znalazł on, że podczas miesięcy zimowych ciało traci na wadze. Strata ta waha się w stosunku rosnącym; przejścia od zysków do strat i od strat do zysków są nagłe i mają miejsce: pierwsze w początkach Września, drugie zaś w początkach Kwietnia. Następujące liczby wykonują stosunek strat i zysków. Strata: Styczeń 0·14; Luty 0·25; Marzec 0·95; Zysk: Kwiecień 0·05; Maj 0·01; Czerwiec 0·52; Lipiec 0·08; Sierpień 0·70. Strata: Wrzesień 0·021; Październik 0·10; Listopad (jedyny wyjątek) mały zysk; Grudzień 0.03.

— W Katanji otworzono subskrypcję na kupno domu, w którym urodził się Bellini. Pragną także kupić stary fortepjan, na którym autor „Normy“ pierwsze swe studja odbywał.

Gospodarstwo.

— Pan Franciszek Lubieński z Miechowskiego otrzymał pozwolenie na założenie szkoły rolniczej we własnych swoich dobrach, zwanych Kazimiera Wielka. Zakład ten będzie czysto prywatnym i ma mieścić 12 uczniów, którym nauki wykładane będą w języku polskim.

— W petersburgskim Dzienniku górniczym pomieszczoną została praca p. Władysława Kondackiego pt. „O Krzemieńcach Kieleckich.“ Autor stara się zbić powszechne dotąd mniemanie pomiędzy górnikami, jakoby w utworach krzemieńcowych gromady dewońskiej nie znajdowały się wcale pożyteczne ciała kopalne; przekonania swoje gruntuje autor na zasadzie spostrzeżeń poczynionych na górach klonowskich i dymińskich, znajdujących się w bliskości Kielc.

Odkrycia.

— W rozkopanym w tych czasach cmentarzu pogańskim pod Gniewem (w Poznańskiem) znaleziono szczególnie piękną urnę z twarzą i bronzowemi łańcuszkami w uszach. Drogoceny to nabytek dla archeologji krajowej.

— Z Oregonu w Stanach Zjednoczonych polecają ogólnie uprawę nowego, tam odkrytego gatunku zboża, bardzo pięknego i wydającego wyborną mąkę. Roślina ta ma posiadać zalety pszenicy, żyta i jęczmienia. Krzewi się w sposób dziwaczny wypuszczając 7 — 10 źdźbeł z jednego korzonka. Ziarna zaś wydaje długie, koloru jasnej słomy. Rozmnożenie jej zawdzięczamy pewnemu fermerowi, który znalazłszy jedno nasionko w wolu zabitej gęsi dzikiej, doczekał się 60 pudów ziarna z pół akra ziemi.

Handel.

— Z Kamieńca Podolskiego donoszą, że w tamecznej okolicy co krok i co chwila spotyka się smutne fakta. Pieniędzy nie ma nikt oprócz żydów, lecz i ci niechętnie wypuszczają je z rąk nawet na zwykłe ogromne procenta, oczekując na dalsze polityczne wypadki. Wszyscy zdają się lękać, wyczekiwać czegoś i w przyszłość spoglądają posępnie. Handlu nie ma żadnego, zarobki dla ludności ustały prawie zupełnie. Nawet fabryki cukru, owo ulubione dziecię, które faworyzuje protekcyjne cło i opłacające stosunkowo nie wielką akcyzę do skarbu, takżejakoś skarżą się na złe interesa. Tutejsi właściciele fabryk cukru przywykli do setek tysięcy zysków — na interes cukrowy rzucili się wszyscy, liczba cukrowni w Podolskiej guberni wzrastała corocznie, wszyscy budowali je z gorączkowym pospiechem, choćby za pożyczone na ogromny procent pieniądze w nadziei, że wydatek i koszta w przyszłości sowicie im się wynagrodzą olbrzymiemi zyskami. W bieżącym roku urodzaj na buraki jest dobry, lecz dawne ceny cukru upadły i właściciele fabryk na równi z innymi stracili na humorze, przeżywszy jeszcze nie dawno ciężką kryzys, o której nie łatwo zapomną.

Wojskowość.

— Karność wojskowa w Chinach przechodzi wszelkie pojęcia europejskie. Pewnego dnia maszerował przez miasto Su-czeu oddział żołnierzy. Jednemu z nich wpadła w oko niewiasta, sprzedająca igły, jedna z owych, co kram w garści trzymany noszą od domu do domu. Człowiek ów pozwolił sobie na pogłaskanie lica tej kobiety, która nie zaniechała złajać go surowo za taką śmiałość, głosem właściwym krzykliwym przekupkom. Krzyk ten doleciał uszu dowodzącego oficera, który dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, zapewnił kobietę głosem spokojnym, że rzecz podobna nigdy się nie powtórzy. Nazajutrz o świcie wywieszono głowę winowajcy nad główną bramą Su-czeu.

ROZMAITOŚCI.

— W jednym z poprzednich numerów „Tygodnia,“ podaliśmy na tem miejscu opis automatu, drewnianego Turka, grającego w szachy i wygrywającego z najtęższymi swojego czasu szachistami. Wspomnieliśmy wówczas, że wynalazek ten wprawiał przez długi czas całą Europę w podziwienie, wywołał cały szereg dzieł o nim traktujących, nawet podobno dramat na ten temat osnuty, aż w końcu w Paryżu poznano się na sprytnem oszustwie, i wynalazca automatu, Kempelen, co żywo z Francji uciekać musiał. Otóż wspomniany automat jego ma teraz nie mniej godnego naśladowcę w wynalazku dwóch inżynierów amerykańskich, panów Clarce i Maskeline.

objeżdżających z nim największe miasta Ameryki i Anglji. Ponieważ Kempelen pytany, jakim sposobem martwa figura współdziałać może przy tak często umysłowej grze, jak szachy, twierdził, iż dzieje się to skutkiem tajemniczego a silnego wpływu na mechanizm automatu, osoby dobrze w szachy grać umiejącej; więc przypuszczano że tą wymówką chciał odwrócić słuszne podejrzenie, jakoby we wnętrzu figury przebywał mały pomocnik, (co rzeczywiście, jak się później przekonano, miało miejsce, a pomocnikiem tym był karzeł arcyznakomity szachista) cała zaś sztuka jego na tem polegała, iż podczas gdy ciekawym widzom otwierano wnętrze figury, potrafił bez szelestu przeleźć z jednej do drugiej kryjówki. Tak dalece niezręczne, łatwo domyślane oszustwo nie istnieje oczywiście przy wynalazku panów inżynierów. Ich „myśliciel“ (Psycho) bowiem, w postaci rachującego i wista grającego Turka, siedzi z podgiętemi nogami, na małej maszynerją wypełnionej skrzynce, i nie ma, jak ów szachista, obok siebie dużej komody, ale jeno mały stolik niczem nie okryty. Na nim, koło prawej ręki automatu, stoją w półkole zatknięte trzynaście kart wistowych, a koło lewej skrzynka z markami do wypłaty. Turek, w chwili gdy tego potrzeba, chwyta w palce jednę z kart i zwraca ją ku partnerom, poczem oczywiście jeden z nich odbiera mu ją; w podobny sposób wskazuje na tabliczkę, na której wyryte są kombinacje zadawanych mu pytań z mnożenia i dzielenia. Wprawdzie sporządzano już maszyny do rachowania. które rozwiązywały równie dobrze takie i inne, trudniejsze nawet matematyczne zadania; atoli wszystkie one nie potrafiły, podobnie, jak ów Turek, rozwiązywać zadań postawionych im ustnie. Nie mniej trudno przecie przypisywać maszynie rozwagę, niezbędną przy wiście. Rrzecz przeto jasna, że i w tym wypadku zręczne oszukaństwo odgrywa najgłówniejszą rolę, bodaj czy nie podobną, jakiego używają przedsiębiorcy, którzy produkują się z uczonemi psami rachującemi, sylabizującemi, grającemi w domino lub karty. Wiadoma rzecz, że psy takie zawsze wpierw przesuwają nosem po literach. cyfrach, kostkach domina lub kartach, i dopiero na zręcznie dany mu znak przez dyrektora, zatrzymują się we właściwem miejscu. Nie podlega wątpliwości, że ten sam system ma pełne zastosowanie przy „myślicielu“ amerykańskim. Atoli, w jaki właściwie sposób i komu udzielają oni tych znaków, to pokryte grubą tajemnicą, ślady zaś jej umieli zatrzeć tak zręcznie, że w starych czasach byliby niechybnie popadli w podejdejrzenie o spółkę z szatanem, i jako tacy byliby na stosie skończyli. Dla usunięcia wszelkiego podejrzenia, stawiają swą maszynę w pierwszym lepszym pokoju, na dywanie, a skrzynkę, na której siedzi automat, stawiają oprócz tego na szklannej podstawie, ażeby tem okazać, że maszynerja izolowana zupełnie od podłogi, i nie ma miejsca jakiekolwiek działanie mechaniczne z dołu. Kempelen usiłował wśród ogółu wzbudzić wiarę, że to on sam za pomocą silnych magnesów oddziaływa na maszynowe wnętrze automatu, co ostatecznie byłoby rzeczą wykonalną, gdyby wynalazca mógł przebywać zawsze w pobliżu maszyny. Atoli panowie Clarce i Maskeline, dla większego efektu, umyślnie nie zbliżają się nawet do swego „myśliciela.“ Profesor Heeren w Hanowerze, któremu snać nie dały spoczynku laury i zyski przedsiębiorczych Amerykanów, twierdzi, w czem zresztą ma zupełną rację, że pomimo to wszystko nie podobna przecie wierzyć w „myślącą“ maszynę, albo też jakieś czarodziejstwo w grze będące. Zdaniem jego, mimo owej szklannej podstawy właśnie w niej mogą być pomieszczone dwa kanały napełnione, jak woda przezroczystym, a elektryczność dobrze przeprowadzającym płynem. Dalej, odpowiednio do tego, byłyby niezbędne dwa druty metalowe, ukryte w dywanie, których końce zbiegały by się w pewnem miejscu, tak że prąd wywołany podeszwą metalową buta, przechodził by po drutach do szklannej podstawy a ztamtąd dalej do maszynerji. Nieznaczne poruszenie nogą pana dyrektora, przypatrującego się grze z pewnej odległości, wystarczałoby, by zamknąć prąd na czas dłuższy lub krótszy, a w ten znowu sposób automat może wybierać sobie naznaczoną kartę albo cyfrę. Nie można powiedzieć apodyktycznie, by tylko to jedno a nie coś innego, było kluczem do rozwiązania sekretu pp. Clarce i Maskeline, na każdy jednak sposób, można z powyższej kombinacji profesora Heerena powziąć wyobrażenie, jakie to środki dzięki ciągłemu postępowi fizyki, stoją na usługi panom magikom, itp. czarodziejom.

— Najoryginalniejszem i pewnie jedynem w tym rodzaju miastem na całej kuli ziemskiej jest Maimatchin, którego ludność składają wyłącznie mężczyźni. Leży ono na granicy Mongolji wprost Kiachty, i służy za wielkie centrum handlu herbaty karawanowej, która mając tą drogą użyczony przez Cara wolny wstęp do jego państwa, rozchodzi się po całej Syberji i Rossji, i taniością rywalizuje z transportami idącemi morzem przez Odessę a podległemi wysokiej opłacie. Ponieważ kobietom w Chinach wzbronionem jest nie tylko wydalanie się z kraju, ale nawet przekroczenie wielkiego muru Kalkan, oddzielającego Mongolję od niebieskiego państwa, więc Maimatchin mieści w swych murach sam przemysłowy świat Chińczyków, i ci dopiero wzbogaceni handlem prowadzonym z Syberją, wracają do miast rodzinnych, by na łonie familji używać zebranych dostatków. Francuski podróżnik Wiktor Meignan, który z czystego zamiłowania podjął daleką i pełną trudów podróż z Paryża przez Petersburg, Syberję, Mongolję, pustynię Gobi aż do Pekinu, ciekawy daje obraz mieszkańców miasta Maimatchin, ich charakteru i obyczajów. „Nie długo po mojem przybyciu do Kiachty — pisze rzeczony podróżnik — Chińczycy z Maimatchin dowiedzieli się, iż p. Nemczynof ugaszcza w swoim domu przybysza z dalekiego Zachodu. Że takie osobistości są w północnych Chinach nader rzadkiem zjawiskiem, a ciekawość kobiet całego świata, niedorówna ciekawości jednego Chińczyka, więc wszyscy mieszkańcy miasta zapragnęli mię oglądać. Wedle zwyczaju moskiewskiego, pomimo że zimna pora minęła, okna mego mieszkania były szczelnie zamurowane, za to wszystkie drzwi stały otworem i niepodobna mi było oprzeć się inwazji coraz to świeżego tłumu Chińczyków. Trzy małe pokoiki, z których składało się moje mieszkanie, mieściły bezustannie towarzystwo czterdziestu do pięćdziesięciu osób, z których każda z osobna i wszystkie razem, śledziły moje najmniejsze poruszenia, chwytały świstki pisma, dotykały się mojej brody, która mówiąc nawiasem, była dla nich niepospolitym przedmiotem podziwu, gdyż nigdy nie widzieli innego zarostu twarzy oprócz wąsów jedynej ich jako też Syberyjczyków ozdoby. Z widoczną przyjemnością przysłuchiwali się mojej ojczystej mowie, prosząc bym ustawicznie tym językiem przemawiał. Często zniecierpliwiony ich natarczywością i niedyskretnem obejściem, wyrzucałem w gniewie całą powódź słów obelżywych, na jakie tylko zdobyć się mogłem; znajdowali je nie mniej harmonijnemi i upraszali bym zechciał powtórzyć moje epitety. Równie ogółowi i gubernator niezdolny był powstrzymać się w swej ciekawości, i zjawił się w ślad za innymi. Wizyta jego zaciekawiła mię mocno. Ubrany był w złotą materję, od czapki ozdobionej niebieską kulą, znak godności jaką piastował, na plecy dwa spadały pawie pióra. Towarzyszyli mu dwaj Chińczycy i książę Mongolski. Strój tego ostatniego składał się głównie z wielkiej ilości ozdób świecących, amuletów srebrnych i koralowych, które zawieszone na piersi zakrywały je zupełnie. Kuzyn gospodarza domu służył mi za tłumacza. Gubernator po wstępnych frazesach oświadczył mi iż prawnie postępując, powinien sprzeciwić się mojemu przejazdowi, gdyż Moskalom jedynie przysługuje przywilej wstępu ze stałego lądu do niebieskiego cesarstwa, ale na ten raz obiecał zamknąć oczy na to bezprawie. Wynurzyłem za to wdzięczność moją, poczem zostałem zaproszony na objad. Mieszkania w Maimatchin odznaczają się cechą zamożności; są wprawdzie odgraniczone od ulicy brzydkim murem, a raczej wałem z ziemi lecz po za tym, w pośrodku ładnego dziedzińca wznosi się wszędzie zgrabna i elegancka budowa. Główna komnata we wszystkich domach podzielona jest na dwie połowy i część w głębi będąca zajęta jest przez estradę, pod którą utrzymywane są naczynia z węglami dla ogrzewania, a zasłana rogożami i plecionką służy w dzień do siedzenia, w nocy zaś do spania. Wprost drzwi wchodowych znajduje się zazwyczj nisza, a w niej rezydują domowe bogi. Ściany sali pokryte czarnym lub czerwonym lakiem są często stosownie do możności i gustu właściciela obciągnięte makatami. Ściany wychodzące na dziedziniec dają zwykle z miękiego drzewa; w nich najrozmaitsze a jour wycięte wzory, podlepione kolorowemi papierami. tworzą oryginalne ale nie bez pewnego fantastycznego wdzięku oświetlenie wnętrza. Pagoda w Maimatchin znajduje się tuż obok pałacu gubernatora. Jest ona poprzedzona trzema dziedzińcami. okolonemi galerją z drzewa wyrabianego, i pomalowaną w różne kolory. W pierwszym wznoszą się trzy małe daszki, osłaniające wielki tam-tam, i dwa złocone potwory. W drugim ustawiony jest teatr w ten sposób, aby bóstwo, gdy podwoje świątyni zostaną rozwarte, mogło się przypatrywać reprezentacjom, które zda mi się stanowią część obchodów religijnych. Trzeci nakryty dachem jest przedsionkiem świątyni, zamieszkałej prawdziwie dziwacznemi bóstwami. Drzwi wchodowe są prześlicznie rzeźbione a jour i wyzłacane, wnętrze podzielone na trzy sanktuarja. Środkowe mieści ogromnych rozmiarów bożka z przerażającemi rysami, wyrazem surowości i okrucieństwa. Broda z prawdziwych włosów, spada mu do pasa, całego okrywa suknia żółtej barwy. Dwanaście fignr w postawie modlącej korzy się przed nim, a mnótwo nagromadzonych ozdób, jako to kandelabry wielkich rozmiarów z kutego żelaza, lance, piki, szable złocone, świece i latarnie pozapalane mają świadczyć o wysokiej czci, której przedmiotem owe bóstwo szkaradne. Po prawej stronie siedzi jakiś bożek w szkarłatnej sukni z trzema oczami; on to czyta najskrytsze myśli śmiertelnika, to też przed nim nie zapalono świec, zapewne żeby nie dopomagać jego jasnowidzeniu. Z lewego boku zasiada nie mniej przerażające jakieś bóstwo zielone. Pamiętny na zaproszenie gubernatora, w oznaczonej godzinie stawiłem się w jego pałacu. Spotkałem tam moich znajomych i towarzyszy podróży; zebrani wszyscy zasiedliśmy na estradzie, czyli wywyższonej części komnaty, podzieleni grupami w około niziutkich stoliczków. Nakrycie składało się z małych talerzyków i mikroskopijnej filiżanki i dwóch pałek. Talerzyk nie służy tu bynajmniej do potraw ale jest przeznaczony na czar gorący ocet, sos niezbędny i ciągel odnawiany przez służbę, w którym macza się każdy kęs jadła, zabrany wprost z wspólnego półmiska za pomocą dwóch pałek. Gdy tak zakropiony kawałek, dostanie się do ust, natychmiast każdy zmierza pałeczkami, z prawej i z lewej strony do przystawki otaczającej półmisek. Są to najczęściej jakieś morskie rośliny, pieczarki, zioła wonne, jaja w konserwie tak przyrządone, iż białko staje się całkiem czarne. W innej miejscowości w pobliżu morza przypominam sobie iż jedna z takich przystawek była sporządzona z małych morskich raków, a w tak umiejętnym sosie, iż bez odjęcia im życia zamieniał je w wyborne ragout. Całkiem jeszcze żywe zjadano je z upodobaniem, wybierając te, których skoki były najżwawsze. Kawałki na półmiskach są już naprzód pokrajane z zastosowaniem rozmiaru na jeden kęs, i noszą na sobie czerwony migdał, na znak iż nikt ich przedtem nie tknął. Pochód dwudziestu pięciu czy trzydziestu takich półmisków, które składały objad gubernatora, rozpoczynał się wedle chińskiego zwyczaju mięsami, poczem szły zupy i cukry, kończąc się półmiskiem ryżu odgotowanego w wodzie, którego nikt nie ruszył i które to danie zapewnie oznacza: Dałem wam co tylko miałem u siebie, terez musiałbym już chyba do najprostszych uciec się potraw. Za jedyny napój przy takim objedzie służy wódka z ryżu, podana na gorąco w filiżankach nie większych od naparstka. Cała zastawa ta naczyń zgrabnych i maleńkich, drobiazgowe podania, rozmaitość i mnogość półmiseczków przypomina żywo dziecinne objadki.

Od Redakcji.

L. K. z nad Wełny. Wiersz przysłany drukowany nie będzie. Treść sama stosowniejsza dla prozy.

Treść Nr. 13.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).